

Ambroży Wereszczyński

**TYLKO Z WOLI BOGA  
PRZEŻYŁEM RZEŻ WOŁYŃSKĄ**





Ambroży Wereszczyński

**TYLKO Z WOLI BOGA  
PRZEŻYŁEM RZEŹ WOŁYŃSKĄ**



*Ziemia*

*Wołyńska*

Ambroży Wereszczyński

## **TYLKO Z WOLI BOGA PRZEŻYŁEM RZEŻ WOŁYŃSKĄ**

Mój wspomnieniowy zapis dramatycznych przeżyć jest potwierdzeniem sadystycznego ludobójstwa polskiej ludności na Kresach II Rzeczypospolitej przez ukraińskich nacjonalistów w czasie drugiej wojny światowej. Urodziłem się w 1931 roku w wielodzietnej rodzinie w miejscowości Zielony Dąb w powiecie Zdołbunów na Wołyniu. Nasza rodzina żyła według surowych zasad moralnych w wierze chrześcijańskiej, a dzieci były wychowywane w poczuciu patriotyzmu i szacunku dla rodziców i otoczenia. Rodzina składała się z: ojca Wacława, mamy Weroniki, braci: Kazimierza, Bolesława, Jana, Ambrożego, Stefana, Piotra i Aleksandra oraz siostry Marysi.



Nasz ojciec Waclaw Wareszczyński,  
zamordowany przez UPA w 1943 roku.





Brat Kazimierz Wereszczyński, przeżył  
będąc na przymusowych robotach w  
Niemczech.



Brat Jan Wereszczyński, szczęśliwie  
przeżył będąc, poza domem.



Brat Bolesław Wereszczyński, przeżył  
będąc na przymusowych robotach  
w Niemczech.

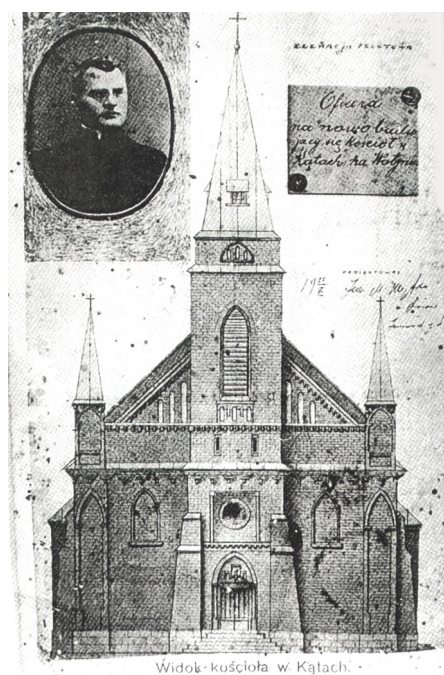


Ambroży Wereszczyński, szczęśliwie  
przeżyłem w udanej ucieczce

My Polacy z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej przeżyliśmy (nie wszyscy) dwie okupacje sowieckie w latach 1939 - 1941 i 1944 - 1945 oraz niemiecką od 1941 do 1944 roku. Jak wiadomo zgodnie z paktem Ribentrop-Mołotow podpisanym przez ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Rosji, 1 września 1939 roku armia niemiecka brutalnie napadła na Polskę. Natomiast 17 września 1939 roku „gościnnie” przekroczyła naszą wschodnią granicę armia krasnoarmiejców. Tak więc Polska została rozdarta na dwie części. Pierwszoplanowymi poczynaniami najeźdźcy sowieckiego było ściąganie kontyngentów w każdej postaci i wywożenie polskiej inteligencji na Sybir. Do inteligencji zaliczano pracowników wymiaru sprawidłowości, urzędników państwowych każdego szczebla, nauczycieli, księży, wojskowych, policjantów, leśników, zamożniejszych gospodarzy - zwanych kułakami, krwiopijcami. Ciekawostką dla nas było to, jak w prosty sposób oceniali, kto jest burżujem. Kazali pokazać ręce i gdy były gładkie, to kwalifikowali na Sybir. Warto przy tym nadmienić, że wkraczających na nasze tereny czerwonoarmistów Ukraińcy i Żydzi witali z entuzjazmem. Jak się potem okazało, byli w większości szpiczlami i donosicielami na Polaków. Sporządzali listy dla NKWD, których Polaków należy brać na zsyłkę. Warunki, w jakich zabierane były z domów na Sybir wyznaczone polskie rodziny i sposób transportu najogłędniej mówiąc był makabryczny. Następną formą teroru było „dobrowolne pod naganem” podpisywanie listy wstąpienia do kołchozu. Gdy na przymusowym zebraniu ojciec nie podpisał listy, wówczas przyszedł do naszego domu enkawudzista, położył na stole nagan i kazał "dobrowolnie" podpisać się. Ojciec nie mając wyboru, uczynił to. Ta niesubordynacja ojca mimo podpisania listy zaważyła na tym, że znaleźliśmy się na liście do wywózki na Sybir. W tej sytuacji ojciec porozumiał się z ukraińskim sąsiadem Hukie Forym, który miał jakieś wględy w NKWD i za pewną część złota, które miał od dziadka, udało się uniknąć niewolniczej katorgi. Niespodziewanie w czewcu 1941 roku Niemcy napadli na swojego sowieckiego sojusznika, tym samym znaleźliśmy się pod okupacją niemiecką. Ta sytuacja nam Polakom Kresów Wschodnich, mojej rodzinie i mnie osobiście przyniosła jakże tragiczny los, który pozostawił piętno na całym moim życiu. W okresie niemieckiej okupacji my Polacy doznaliśmy strasznego ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na przeszło 200 tysiącach Polaków, od jeszcze nienarodzonych po najstarszych. Nie zamierzam szerzej dokumentować i komentować tych potwornych ukraińskich zbrodni, ograniczę się tylko do tych zdarzeń, w których

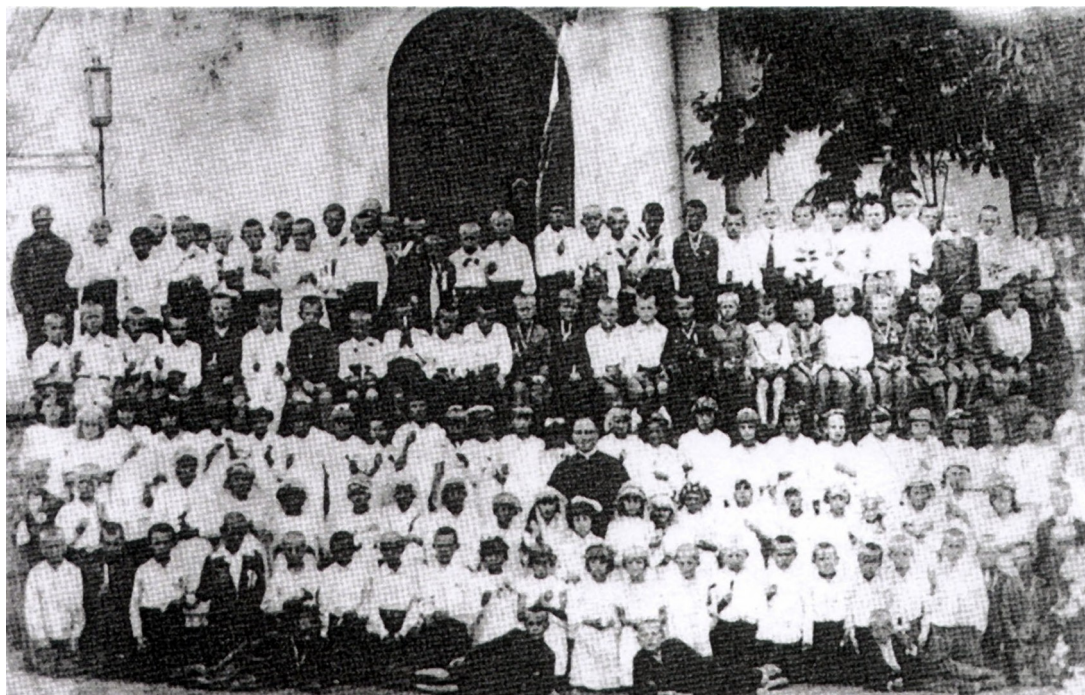
byłem uczestnikiem i na szczęście niedoszłą ofiarą. My Kresowianie, którym cudem udało się przeżyć tę straszną banderowską pożogę śmierci, będziemy z goryczą w sercach pamiętać i odczuwać ten ból do końca swoich dni. Krótka saga rodu Wereszczyńskich, co pamiętam z opowiadań ojca, miała swój początek w Rusi Kijowskiej. Tam zamieszkiwali nasi prapradziadkowie i nie wiem, z jakich przyczyn przybyli na teren Wołynia. Zresztą według skromnej wiedzy historycznej, obszar Wołynia w XV wieku znajdował się w granicach Rusi Kijowskiej, co tłumaczyłoby znalezienie się naszych dziadków na Wołyniu. Z relacji dziadka wynika, że po przybyciu na Wołyń, Wereszczyńscy, mając sporo złota, wykupili duży obszar gruntów w południowej części wsi Zielony Dąb, na których to posiadłościach zaczęli się budować, dając początek następnym pokoleniom Wereszczyńskich. Nasza wieś była położona malowniczo na płaskim wzgórzu wśród lasów, dolin i jarów.

Do naszej wsi administracyjnie należały 4 kolonie lub inaczej przysiółki, Pasieka, Sporny Kąt, Wertepy i Kamyczki. Nasze 13,5 hektarowe gospodarstwo z 5 arowym sadem i półhektarowym przydomowym ogrodem, przy ówczesnej technice rolniczej, wymagało wyczerpującej pracy rodziców, w czym i my starsze dzieci aktywnie uczestniczyliśmy. Młodsze z nas miały jednak i w tych warunkach czas na swoje beztrioskie dzieciństwo. Do wybuchu wojny w 1939 roku nie było między nami a Uraińcami sąsiedzkich czy narodowościowych incydentów, które mogłyby rzutować na harmonijne współzycie.



Nasz kościół parafialny w Kątach na Wołyniu. W 1943 roku spalony i rozebrany przez ukraińskich barbarzyńców.





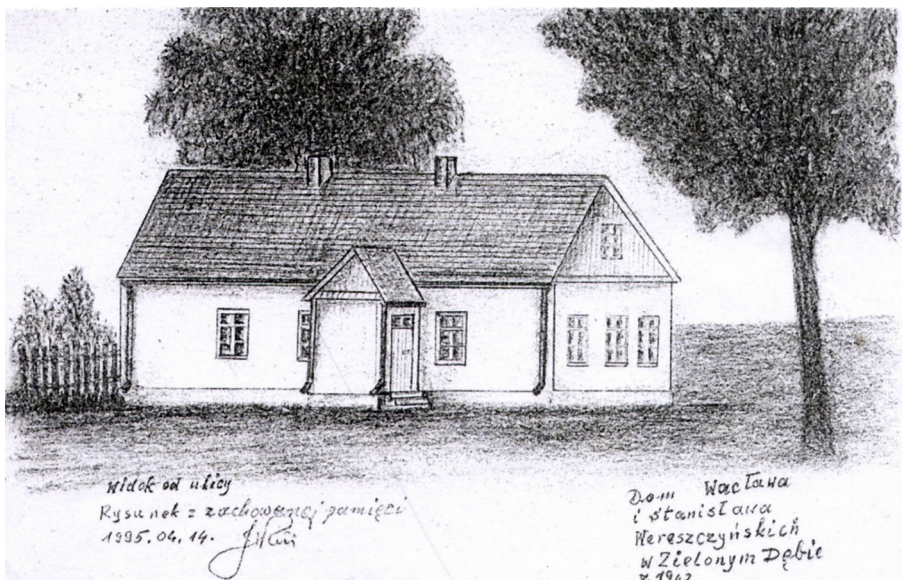
Ostatnia wspólna komunia św. Dzieci parafii Kąty w r. 1939, na tle kościoła, z księdzem Szymonem Janowskim. Na zdjęciu nie jesteśmy rozpoznawalni. Większość z nas została zamordowana przez UPA. Ci, co przeżyli to: Lodzia Jasińska, Mirek Wereszczyński i ja Ambroży Wereszczyński.

Byliśmy z dala od bieżącej polityki i nie wiedzieliśmy, że w tym międzywojennym dwudziestoleciu tworzyły się podziemne ukraińskie nacjonalistyczne organizacje o wrogich tendencjach wobec Polski i Polaków. Dziś już wiemy, że w 1929 roku na kongresie w Wiedniu powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów OUN, szkolona w Niemczech przez nazistów niemieckich o wrogich zamiarach wobec państwa polskiego i Polaków. W Polsce już przed 1939 rokiem OUN organizowała tzw. Ukraińską Powstańczą Armię (UPA), na czele której stanął Stepan Bandera, syn grekokatolickiego popa. Po 1930 roku z inspiracji OUN ukraińscy terroryści i mordercy rozpoczęli działalność przeciwko państwu polskiemu. W 1931 roku został przez nich zamordowany poseł na sejm Tadeusz Hołówka, a w 1934 roku został zastrzelony minister spraw zagranicznych Bronisław Pieracki. Ponadto na szerszą skalę dokonywano sabotażu gospodarczego: dewastację linii kolejowych, telekomunikacyjnych, podpalanie stert zboża po żniwach itp. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy z ogromu nieszczęść, jakie niosła ze sobą wkraczająca horda niemiecka. W pierwszych kontaktach z wojskami niemieckimi, które korzystniej prezentowały się od sowieckich, można było odnieść wrażenie „lepszego zła okupacyjnego” od poprzedniego sowieckiego. Były to tylko złudzenia. Na naszym



terenie wojska wehrmachtu posuwały się na wschód paradnie, w sposób defiladowy, dosłownie bez jednego wystrzału. Krasnoarmiejcy byli w rozsypce, nie stawiali żadnego oporu, przeciwnie, bezładnie uciekali na wschód. Społeczność Ukraińska entuzjastycznie witała wojska niemieckie. Osobiście widziałem jak w naszej sąsiedniej ukraińskiej wsi Androszówka, Ukraińcy witali przejeżdżających tam Niemców kwiatami i obdarowywali „czym chata bogata”. Liczyli na to, że jak fama głosiła Hitler obiecał im wolną Ukrainę, w co naiwnie wierzyli. Owszem na początku władza niemiecka dla własnych korzyści znacząco faworyzowała Ukraińców, powierzając im tworzenie władz terenowych, policji, oczywiście pod swoim nadzorem. W kwestii obiecaniej przez Hitlera wolnej Ukrainy, chodziły pogłoski, że tak, ale pod warunkiem, że sami oczyszczą Ukrainę od innych narodowości. Jeżeli tak rzeczywiście było, to musiał to być szatański pomysł podpowiadający Ukraińcom sens mordowania Polaków, Żydów i Ormian, co też się stało. Wkrótce po tych obietnicach niemieckich wzrosły wśród Ukraińców nastroje antypolskie, dało się odczuć niechęć i bojkotowanie Polaków. Wkrótce nastąpiły prześladowania Polaków przez Ukraińców. Pod byle pretekstem, a najczęściej bez żadnego powodu, wydawano Niemcom Polaków jako przeciwników ładu i porządku „panów świata”, co było równoznaczne z karą śmierci lub w najlepszym przypadku z torturami i zesłaniem do Rzeszy na ciężkie roboty lub do obozu śmierci. Najczęściej jednak ukraińska policja rozprawiała się z Polakami na własny rachunek, szczególnie z mężczyznami w sile wieku i starszymi młodzieńcami, którzy w przyszłości mogliby stanąć w obronie przed banderowskimi mordercami. Byłem świadkiem jak ukraińska policja z Buderaza aresztowała i zabrała naszego kuzyna Stanisława Jasińskiego (lat 21), który co prawda wrócił wieczorem do domu, lecz tak potwornie zmasakrowany, że nikt z nas nie liczył na jego przeżycie. Dopiero po długim czasie udało się przywrócić go do życia. Niedługo po tym incydencie jacyś Ukraińcy po cywilnemu, uzbrojeni w karabiny, bez żadnego zarzutu kazali szwagrowi Stanisława Jasińskiego - Stanisławowi Łozińskiemu (lat 21) zaprząć konie do wozu i odwieźć ich we wskazanym kierunku do lasu. Po krótkim czasie wszyscy usłyszeliśmy odgłos wystrzału z broni palnej, a po jakimś czasie konie same powróciły do zagrody, a na wozie leżał zastrzelony Stanisław Łoziński. Była to w naszej miejscowości pierwsza ofiara ukraińskich zbrodniarzy. Od tego czasu zapanowała wśród nas psychoza strachu, przygnębienia i bezradności. Byliśmy jednak bezbronni, nie mieliśmy w

nikim oparcia, a wszystko zmierzało dopiero ku najgorszemu. Dało się zauważyć wzmożony ruch Ukraińców, szczególnie ze środowisk inteligencji, popów, byłych przedwojennych urzędników, żołnierzy służących w wojsku polskim i zagorzałych świątlejszych nacjonalistów, którzy po kryjomu organizowali spotkania, na których prawdopodobnie omawiali realizację wytycznych OUN w sprawie organizowania na szeroką skalę UPA. Trzeba podkreślić, że duchowymi przywódcami UPA w większości przypadków byli grekokatolicy popi, którzy między innymi nie tylko poświęcali narzędzia zbrodni do mordowania Polaków, ale też byli faktycznymi „kamandirami” band UPA. Powszechnie wiadomym też było, że popi podczas odprawianych nabożeństw w cerkwiach z ambon nawoływali do nienawiści i porównywali Polaków do kąkol w zbożu jako szkodliwego chwastu, który trzeba wycinać z korzeniami. Nasi rodzice obsewując tę dramatycznie niepokojącą sytuację, drżeli o nasz los w dalszej perspektywie. Groziło nam potencjalne niebezpieczeństwo, choćby z tej racji, że najstarsi bracia - 21 i 17 lat - byli członkami organizacji "Strzelec", a komendantem „Strzelca” był nasz stryj Stanisław Wereszczyński, były oficer wojska polskiego, który mieszkał z nami we wspólnym, bliźniaczym domu.



Dom Wacława i Stanisława Wereszczyńskich w. Zielonym Dębnie,  
spalony przez UPA w 1943 roku.

Nasze obawy okazały się uzasadnione, ponieważ pewnej nocy do naszego domu zaczęli dobijać się nieznani osobnicy, domagając się otwarcia drzwi. Nasz ojciec, domyślając się o kogo może chodzić, mimo ich natarczywości, „wziął na przetrzymanie”. Napastnicy prawdopodobnie byli przekonani, że możemy mieć broń i w końcu zrezygnowali z

zamierzonego celu. Od pewnego czasu bracia Kazimierz i Bolesław przezornie nocowali w ukryciu w stodole, tak więc słyszeli i obserwowali to całe zajście i mimo posiadania broni nie interweniowali, co przyniosło szczęśliwe zakończenie. Stryj Stanisław również nie nocował w domu, ukrywając się w tylko sobie znanej kryjówce. Przypadek sprawił, że po tej nocy bardzo wczesnym rankiem pasłem krowy przy lesie w kierunku Kudrynia. Siedząc na skraju lasu przy drodze zauważyłem trzech mężczyzn wychodzących z lasu i zmierzających drogą w moim kierunku. Przechodząc obok mnie przeklinali po ukraińsku, że tym razem im się nie udało. Dobrze znałem język ukraiński, toteż dobrze wiedziałem, o co im chodziło. Gdyby oni wiedzieli kim byłem, nie byłoby tych moich relacji. Tuż po tym zajściu obaj bracia w porozumieniu z rodzicami wyjechali do miasta Krzemieńca, gdzie Niemcy ich schwytali i wysłali do Niemiec na przymusowe roboty, o czym my nic nie wiedzieliśmy. Rodzice i pozostałe dzieci już nigdy z nimi się nie zobaczyli, gdyż zostali okrutnie zamordowani przez ukraińskich zbrodniarzy. Jeżeli chodzi o rodzinne rubieże wołyńskie, to zagrożenie ze strony Ukraińców stawało się coraz większe. Ukraińscy oprawcy mordowali nie tylko pojedynczych Polaków, ale zaczęły się zbiorowe eksterminacje całych polskich miejscowości. W tej sytuacji jedynie w dzień przebywaliśmy w domach i zagrodach, przy ograniczonych pracach gospodarczych, stale czuwając, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Natomiast nocami całymi rodzinami chroniliśmy się w lasach, jarach i innych maskujących kryjówkach, gdyż noc niosła zagrożenie życia. Nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, by wiedzieć, jak trudno przetrwać noc pod gołym niebem, tym bardziej z małymi dziećmi, szczególnie w deszczową pogodę, a nie chodziło przecież tylko o jedną noc. Trwało to tygodniami, czy miesiącami, w zależności od lokalnych uwarunkowań w tym czasie. Ponieważ stawało się to już nie do zniesienia, szczególnie z powodu chorób (lekarzy i leków nie było), ojciec zdecydował się wykonać w przydomowym sadzie podziemny schron, przemyślnie maskowany, w którym znośniej może było przetrwać w ukryciu niezbędny czas. Wadą tego schronu było to, że był on w pobliżu domu, o którym wiedzieli ukraińscy sąsiedzi, mimo że ojciec robił to w porach nocnych, to jednak nie mogło to ująć uwadze sąsiadów. A jednak ochronił on nas od niechybnej śmierci w czasie pierwszego najazdu banderowców (tym razem już w dzień) na naszą wieś. Wystawiony zwiad doniósł o zbliżających się do wsi banderowcach, ojciec natychmiast wprowadził nas z mamą do schronu, a sam ukrył się w ogrodzie, ponieważ schron był za mały na całą rodzinę. Wieś



natychmiast opustoszała, Polacy poukrywali się lub rozproszyli w różnych kierunkach. My z mamą modliliśmy się o ocalenie i nasłuchiwaliliśmy w strachu, ponieważ usłyszeliśmy odgłosy kroków nad nami i niezrozumiałą dla nas rozmowę. Tym razem udało się uniknąć najgorszego, dzięki temu, że na zadaszeniu schronu była gruba warstwa ziemi z darniami trawy i dzięki życzliwości ukraińskich sąsiadów, którzy nie zdradzili naszej kryjówki. Już w tym okresie dochodziły nas wieści o masowych mordach ludności polskiej, łącznie z paleniem wszystkiego, co polskie oraz rabunkami przez ukraińskich sąsiadów. Trafnie ktoś gdzieś napisał, (nie pamiętam nazwiska autora), „gdy tylko słońko zachodziło w łunach pożarów, we krwi topił się Wołyń”. My również nocami obserwowaliśmy łuny pożarów widoczne nad polskimi miejscowościami. Ja szczególnie zapamiętałem, gdy w bardzo chłodną i deszczową noc rodzice ze względu na nas dzieci postanowili przenocować w domu asekurując się czuwaniem. I oto w środku nocy przybiegła do nas ukraińska sąsiadka ostrzegając, żebyśmy natychmiast uciekali, bo UPA będzie mordować naszą wieś. W wielkim pośpiechu uciekliśmy do najbliższego lasu, gdzie przyczailiśmy się w głębokim wąwozie. Było nam bardzo zimno, gdyż z powodu dużego pośpiechu byliśmy skromnie przyodziani. Wkrótce usłyszeliśmy rozpaczliwe krzyki mordowanych ludzi i zobaczyliśmy łuny pożarów w odległej o 2 km. dużej polskiej wsi Hurby, gdzie mieszkali nasi krewni.



Tu gdzie stoimy z Jerzym, jest miejsce po doszczętnie spalonej dużej polskiej wsi Hurby na Wołyniu liczącej 564 mieszkańców, których w okrutny sposób wymordowali ukraińscy rizinicy.

Jak się okazało, ta ukraińska sąsiadka była niedokładnie zorientowana w zamiarach banderowców, którzy przemieszczali się opłotkami naszej

miejsowości, ale docelowo zmierzali do wsi Hurby. Intencją jej było ocalenie naszego życia i niech ją Bóg za to błogosławi. Podobne wydarzenia jak w Hurbach w 1943 roku były już codziennością. Ginęli w potwornych męczarniach: dzieci, kobiety, mężczyźni i starcy- wszyscy, którym dane- było być Polakami. W tym samym roku na początku czerwca przyjechała do nas na urlop z Francji ciocia, siostra ojca, a moja chrzestna. Widząc, co tu się u nas dzieje, namawiała ojca, by wyjechać za Bug.



Ciocia Justyna.. Wereszczyńska - Borowska,  
zamordowana przez UPA w 1943 roku.

Jednakże ojciec nie wyobrażał sobie, gdzie moglibyśmy się znaleźć z tak dużą rodziną i z czego żyć, tym bardziej, że w Polsce za Bugiem nie mieliśmy nikogo z krewnych i panowała tam niemiecka okupacja. W tej sytuacji plan cioci upadł i pozostało nam nocami jak dotychczas chronić się w lasach, tym bardziej, że nasz przydomowy schron został jakimś cudem upowszechniony wśród ukraińskich sąsiadów. Po przetrwaniu w lesie nocy z 2 na 3 lipca 1943 roku (tej daty nigdy nie zapomnę) zaniechaliśmy ukrywania się i wraz z innymi polskimi rodzinami powróciliśmy do swych zagród w celu przygotowania pożywienia, wysuszenia ubrań, nakarmienia trzody itp. Po tym naszym powrocie do domu 3 lipca 1943 roku niespodziewanie zjawili się rusczy partyzanci prosząc o pożywienie, a gdy otrzymali, co było możliwe, oczywiście od polskich rodzin, udali się do lasu. Ci partyzanci dla nas Polaków często stanowili ochronę przed banderowcami w różnych okolicznościach. I tym razem poczuliśmy się bezpieczniej, mając świadomość, że ci rusczy partyzanci są gdzieś w pobliżu. Miało to tragiczne dla nas następstwa. Otóż nasi miejscowi ukraińscy sympatycy banderowców wykorzystali ten

fakt uspokojenia, poprawy nastrojów i spadku czujności Polaków po wizycie sowieckich partyzantów i natychmiast powiadomili banderowców o warunkach sprzyjających do dokonania morderstwa. Dowód na to dał mój brat Janek, który w tym czasie był w okolicy zamieszkania zagorzałego nacjonalisty Stepańczuka (będzie jeszcze o nim), który rozmawiał z innymi nieznanymi mu Ukraińcami, po czym Stepańczuk razem z nimi na koniach pojechali w kierunku hurbieńskiego lasu. Brat podejrzewając ich zamiary, postanowił powiadomić nas o swoich spostrzeżeniach, ale miał problem z dotarciem do nas, bo dzieliła go znaczna odległość od wsi. Kiedy w końcu dotarł i opowiedział nam o swoich spostrzeżeniach, nie bardzo dawano temu wiarę (co za naiwność), ale gdyby nawet, to było już za późno na pozbieranie się wszystkich rozproszonych po ogrodach i innych miejscach na terenie wsi, by móc zorganizować skuteczną ucieczkę. Jak się wkrótce okazało, banderowcy otaczali pierścieniem w określonym celu naszą wieś. W tym czasie, jak już wspomniałem, byliśmy w swoich obejściach, w ogrodach, sadach i na pobliskich polach. Gdy banderowcy otoczyli już całą wieś, początkowo nie byliśmy tym aż tak przerażeni, ponieważ byli oni w uniformach charakterystycznych dla sowieckich partyzantów (gwiazdy pięcioramienne na czapkach, bluzy mundurowe itp.). Po nawiązaniu z niektórymi naszymi ludźmi bezpośredniego kontaktu starali się pozyskać nasze zaufanie, mówiąc, że jako radzieccy partyzanci chcą nam zapewnić bezpieczeństwo przed ukraińskimi bandami. W tych pierwszych chwilach pozorowane ich intencje wydawały się nawet prawdopodobne, toteż nie wszyscy podejmowali próbę ucieczki. Jednak, gdy zarządzili zebranie na naszym podwórku i zaczęli przymusowo gromadzić dorosłych i dzieci to wówczas zdaliśmy już sobie sprawę w jakiej znaleźliśmy się pułapce. A bandyci penetrowali wszystkie okoliczne tereny wsi łącznie z ogrodami, zbierając Polaków na to „zebranie”. Oprócz tego punktu zbiórki na naszym podwórku był jeszcze jeden punkt takiej zbiórki u Krajewskich. Ci z naszych, którzy byli bardziej podejrzliwi, a mieli jeszcze możliwość, próbowali ucieczki, a gdy to było niemożliwe, to starali się ukryć w bogato porośniętych ogrodach i nielicznym to się udało, między innymi mojemu bratu i stryjowi Stanisławowi.





Stryj Stanisław Wereszczyński, szczęśliwie przeżył.

Ja w tym czasie byłem z ciotką Justyną i Marią - siostrami mojego ojca w naszym ogrodzie w pobliżu domu. Podeszło do nas dwóch „partyzantów” i nakazało nam iść z nimi na to "zebranie" na naszym podwórku. Mnie jednak udało się odłączyć, dzięki czemu mogłem podejść do siedzącego na ławeczce przed swoim domem stryja Kazimierza z dziećmi, który nie przejawiał tego sądnego dnia żadnej trwogi, jakby nic się nie działo. Stryj był człowiekiem bardzo religijnym i wyjątkowo spokojnym, w całym swoim życiu o nikim nawet źle nie pomyślał, tak więc nie dopuszczał myśli, że ktoś mu może zrobić jakąś krzywdę. Siedział i przyglądał się z całkowitą obojętnością temu, co się wokoło działo, aż mnie to zdziwiło. Mówię do stryja, że to chyba banderowcy i w tym samym czasie podchodzi do nas jeden z banderowców i zabiera nas wszystkich na nasze podwórko. Idąc nieco z boku, zauważyłem u tego bandyty duży rzeźnicki nóż tkwiący za cholewą jego buta. Z wielu relacji starszych wiedziałem, że banderowcy noszą takie noże i ten widok jakby mnie sparaliżował, ale nie miałem wyjścia i razem dotarliśmy na nasze podwórko, gdzie było już zgromadzonych bardzo dużo osób (w tym moi rodzice i rodzeństwo). Wszyscy byliśmy otoczeni przez uzbrojonych banderowców, którzy tworzyli szczelny pierścień wokół nas. Trudno słowami wyrazić atmosferę grozy i rozpacz nas wszystkich, gdy już uświadomiliśmy sobie, co nas czeka. Rozpaczały przeważnie kobiety i matki, błagając morderców o darowanie życia szczególnie nam dzieciom, a mordercy w odpowiedzi szyderczo się uśmiechali. Pamiętam ten tragiczny dla nas dzień 3 lipca 1943 roku. Był piękny, słoneczny i tak się

chciało żyć. Moja mama na rękę z dwoma małymi braciszkami i przy niej siostrzyczka Marysia oraz brat Stefan, ciocia Justyna i Marysia stali oparci o ścianę naszego domu i przeraźliwie płakali. W pewnym momencie mama powiedziała szeptem do mnie, bym próbował pójść do sadu i próbował uciec, tak też uczyniłem pozorując nieświadomego grozy sytuacji i bardzo powoli, jakby od niechcienia, zacząłem się oddalać w kierunku sadu. Miałem zamiar przyśpieszyć i uciekać. Jednakże, gdy zrobiłem pięć zamierzonych kroków, podbiegł do mnie banderowiec i zagarnął mnie do pozostałych uwięzionych. W tym czasie jeden z banderowców kazał ojcu wziąć siekierę i iść z nim do stodoły. Przerażony tą sytuacją poszedłem za nimi, a w stodole banderowiec kazał ojcu wskazać, gdzie są schowane kosztowności. Nie rozumiałem, jaki związek z tym może mieć siekiera. Otóż banderowiec kazał ojcu odrywać deski i rąbać inne drewniane części stodoły, co wydawało się dość dziwne. Trwało to dość długo, a ojciec udawał, że nie wie, o co chodzi. Z zachowania banderowców wynikało, że musieli być przez kogoś poinformowani o kryjówce jakichś rzeczy, o czym ja nic nie wiedziałem. Dopiero parę lat po wojnie, gdy odnaleźliśmy się z braćmi, którzy powrócili z Niemiec, dowiedzieliśmy się od nich, że w stodole pod progiem schowana była skrzynka ze złotem, o czym mógł wiedzieć nasz sąsiad Huk For, który wcześniej podczas okupacji sowieckiej dostał od ojca złoto jako łapówkę dla NKWD za uniknięcie wywózki na Sybir. Gdy w dalszym ciągu ojciec nie zdradzał miejsca, o które chodziło, banderowiec odebrał ojcu siekierę i zadał nią cios w głowę ojca. Ojciec jęknął, upadł i już nie żył, a następny cios był wymierzony we mnie, ale zdążyłem zrobić unik i błyskawicznie wybiegłem ze stodoły na podwórko, gdzie jeszcze nic się nie działo poza atmosferą grozy, płaczu i beznadziejności. Ja mimo tej tragicznej sytuacji gorączkowo zastanawiałem się nad jeszcze jedną próbą uwolnienia się. Tym bardziej, że zaczęła nadchodzić jakby inna jeszcze grupa banderowców, ale bardziej w cywilnych ubraniach i co przerażające zaopatrzonych w siekiery, noże, widły i inne narzędzia zbrodni. Wówczas wpadłem na myśl wejścia do domu, bez względu na to, co się stanie. Sądziłem, że banderowcy nie zabronią mi tego, gdyż zostaną uwięzieni, a budynek będzie spalony. Jak się okazało, ocena moja w tej kwestii była trafna. Słyszałem już wcześniej o ich sposobach mordowania z podpalaniem ofiar w zamkniętych obiektach. Zamierzając ucieczkę przez dom, myślałem o drugim wyjściu przez korytarz szkoły i drugim wyjściu na przeciwną stronę domu. Bandyta o tym mógł wiedzieć stojąc przy wejściu domu od strony ulicy. Ja natomiast

wiedziałem, że przy tych wyjściowych drzwiach ze szkoły (była w naszym domu szkoła jednoizbowa) stali inni banderowcy, ale pomyślnie zakończenie było warte ryzyka. Jeszcze przed ruszeniem do domu chciałem zabrać ze sobą młodszego brata Stefana. Był na tyle duży, że mógł już szybko biegać, co miało zasadnicze znaczenie podczas ucieczki. Podeszedłem do niego, by namówić go do swojego zamiaru, ale on trzymając się mamy, płakał i nie chciał odejść. Nie wiem, dlaczego wówczas powiedziałem do brata, żeby nie płakał i że wszystko będzie dobrze. Przecież te słowa nie miały realnego znaczenia. Po wypowiedzeniu tych słów, zachowując pozorny spokój, ruszyłem do wejścia do domu od strony ulicy. Zgodnie z oczekiwaniem nie zostałem zatrzymany przez banderowca stojącego przy drzwiach. Przez długie lata tkwił mi w pamięci obraz twarzy tego bandyty, gdyż bardzo uważnie wpatrywałem się w jego oczy wchodząc do domu już poraz ostatni. Od decyzji banderowca w tamtym momencie zależało moje życie, gdyby mnie zatrzymał, nie byłoby dzisiejszej relacji. Gdy znalazłem się wewnątrz domu, poczułem szansę ocalenia. Do dziś nie mogę pojąć swojej determinacji, jak potężne wstąpiły we mnie siły. Ruszyłem jak huragan ku drzwiom, które prowadziły do korytarza szkoły, gdzie były drzwi wyjściowe na tylną część budynku. Problemem było jeszcze to, że te wyjściowe drzwi były zamknięte na tak zwaną zasuwę, no i to, że na zewnątrz nich stali banderowcy. Jednak siła ratowania się wszechwładnie górowała nad rozsądkiem, pozostawały sekundy, które przesądzały o wszystkim, tym bardziej, że poczułem spaleniznę, czyli dom się już palił i słyszałem przerażające krzyki mordowanych ludzi. Bardzo ostrożnie zwolełem zasuwę, nabrałem rozpędu i swoim wątłym ramieniem uderzyłem w skrzydło drzwiowe, które uderzyło w stojącego za nimi jednego z dwóch banderowców, ominąłem tego drugiego i z ogromną szybkością pobiegłem przed siebie w kierunku ogrodów. Zanim ci banderowcy otrząsnęli się z zaskoczenia i złożyli się do strzału, byłem już w ogrodach. Padły pierwsze strzały, potem następne. Pędziłem przerażony, w pewnym momencie zaplątałem się w zaroślach i przewróciłem się, widziałem jak mordercy biegli w moim kierunku. Zmęczony, nadludzkim wysiłkiem poderwałem się i chyłkiem biegłem przed siebie. Banderowcy wciąż za mną strzelali, więc biegłem zygzakami. Goniący mnie też napotykali trudności z uwagi na bujne ogrody, a szczególnie fasolę tyczkową i konopie. Strzały padały rzadziej, a ja ciągle biegłem w kierunku pojedynczego drzewa – lipy rosnącej przy parni.





Po latach jestem w naszym rodzinnym ogrodzie w Zielonym Dębie.  
W prostej linii to samotne największe drzewo, to moja droga  
w dramatycznej ucieczce po życie 3 lipca 943 roku.

Kątem oka zobaczyłem, że po tej ścieżce mojego „życia lub śmierci” biegnie z rozpaczliwą determinacją moja kuzynka Lodzia Jasińska, jednak z przerażeniem stwierdziłem, że Lodzia kieruje się na swój dom, co było wbrew zdrowemu rozsądkowi. Krzyczałem do niej, by zatrzymała się, chciałem by uciekała razem ze mną, ale przy tym huku wystrzałów mogła mnie nie słyszeć i dalej biegła w obranym kierunku. W tym samym czasie padły strzały z mojej prawej strony. Na moment rzucam okiem w stronę dochodzącego huku wystrzałów i widzę uciekającego starszego człowieka, naszego kuzyna, Łukasza Wereszczyńskiego oraz goniących go banderowców, którzy ostrzeliwiają jego, a przy tym i mnie, bo uciekał właśnie dokładnie w moim kierunku. Ja szczęśliwie oddaliłem się na w miarę bezpieczną odległość i położyłem w zbożu, bo byłem ogromnie zmęczony. Jak się później okazało ten biedny Łukasz będąc potwornie zmęczony upadł, a banderowcy zamordowali go w tym miejscu. Jeśli chodzi o Lodzię, to nie wiem, co dalej z nią było, ale wiem i cieszę się, że przeżyła. Mieszkała tu na zachodzie koło Nysy, obecnie już nie żyje. Przyznam, że nie mieliśmy nigdy dość czasu, by wspominać o swoich tragicznych losach. Moja dalsza droga ucieczki - i nie tylko tej - nie była jeszcze wolna od śmiertelnego zagrożenia. Po tym odpoczynku w zbożu, w dalszym ciągu uciekając zbliżałem się do drogi łączącej naszą wieś z Androszówką, która w tym miejscu biegła głębokim wąwozem. Coś mnie tknęło, by zachować ostrożność, toteż jak piesek podczołgałem się na skraj skarpy wąwozu i oniemiałem z przerażenia. Zobaczyłem zgraję

uzbrojonych banderowców na konnych furmankach, którzy stanowili jakby drugi pierścień okrążenia i oczekiwali na takich jak ja niedobitków, a jednocześnie jako transport na zrabowany łup po zamordowanych Polakach. Warto zauważyć, że ta ich czujność nie była najwyższego lotu, ponieważ suto raczyli się bimbrem, co tym razem było nam na rękę. W tej sytuacji wycofałem się, zmieniłem kierunek bardziej na wschód, przeszedłem polami w zbożu z kilometr i wówczas przekroczyłem tę drogę, by zmierzać do zbawczego lasu w pobliżu leśnictwa Bańkowskiego. By jednak osiągnąć ten cel, pozostało mi przekroczyć jeszcze jedną drogę, która biegła równiną, ale w dobrze wyrosniętym zbożu. Gdy zbliżałem się do niej, usłyszałem turkot wozów i odgłosy rozmów dochodzące z doliny leśniczówki. Mówczas zaostrzyłem czujność, cofnąłem się na pewną odległość, zaległem w zbożu, by przeczekać zagrożenie. Byli to banderowcy zmierzający do naszej wsi, zapewne po łupy, gdyż część polskich zabudowań nie została spalona ze względu na bliskie sąsiedztwo z ukraińskimi gospodarstwami. Po przejechaniu wozów z wielką ostrożnością przekroczyłem drogę i pośpiesznie zmierzałem pod górę do upragnionego lasu. Gdy się w nim znalazłem, usiadłem na skraju bardzo zmęczony, patrząc ze łzami w oczach na moją rodzinną wieś z poczuciem ogromnej rozpacz. Z tego miejsca widać było jak na dłoni wielkie płomienie ognia i słychać było przeraźliwe krzyki mordowanych i palonych ludzi. Słychać też było przeraźliwy ryk, skowyt i rżenie zwierząt, które były w zamknięciu i na uwięzi i też ginęły w ogniu. Były to dla mnie chwile najcięższej rozpacz i pustki mojego dziecięcego osamotnienia. Obserwując tę straszliwą kaźń i zdając sobie sprawę z beznadziejności mojego położenia, zastanawiałem się, co będzie dalej. Raptem znalazła się przy mnie pani Krajewska z dwójką małych dzieci, a za chwilę kuzynka Antosia Jasińska, matka wspomnianej już wcześniej Łodzi, nie wiedziałem, w jaki sposób udało im się uciec. Okazało się, że w czasie zbierania Polaków w tym drugim miejscu kaźni w naszej wsi one były poza domami, ukrywając się w ogrodach. Razem było nam jakoś raźniej, choć przerażeni tą sytuacją płakaliśmy, nie wiedząc, co dalej począć. Wieś wciąż się paliła, słychać było przeraźliwe lamenty konających ludzi i zwierząt oraz czuć unoszący się specyficzny zapach palonych ciał ludzi i zwierząt. Po paru godzinach tego tragicznego spektaklu, zobaczyliśmy wyjeżdżających z naszej miejscowości rozbawionych banderowców, wracających z udanego morderstwa i rabunku polskiego majątku. Przyczajeni na ziemi za drzewami przeczekiwaliśmy ich przejazd. Gdy

już odjechali traktem w kierunku Starej Huty, zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej pocniemy.



Jesteśmy z cioteczynym bratem Jerzym Jeleńkowskim w jego miejscu urodzenia w miejscowości Stara Huta na Wołyniu, byłej dużej polskiej wsi z tradycjami polskości. Dziś jak widać tylko ugory, trawa i las.

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, że ja z Antosią Jasińską pójdziemy z zachowaniem maksymalnej ostrożności na miejsce zbrodni przy moim domu, natomiast pani Krajewska postanowiła wrócić do swojego miejsca zamieszkania, gdzie jak się okazało zginął jej mąż z resztą rodziny. Ten powrót nasz na miejsce zbrodni był sprawą niebezpieczną, ponieważ powszechnie było wiadomo, że w podobnych sytuacjach banderowcy robili zasadzki wiedząc, że ci, którym udało się przeżyć, zwykle wracali na miejsce zbrodni, by zobaczyć lub pochować swych bliskich i wówczas ich wyłapywali i mordowali. To wydaje się nieprawdopodobne, że wiedząc o ich praktykach, mimo wszystko zmierzaliśmy do celu. Po prostu jakaś nieodparta siła popychała nas ku swoim najbliższym. Po zbliżeniu się do dopalających się zabudowań znaleźliśmy się w obłoku cuchnącego i gorącego dymu oraz wśród latających jak oszalałe ponadpalanych krów, które nie oddalały się, lecz krążyły uparcie w ogrodach i wokół swoich zagród, których już nie było. Zwróciłem na to uwagę, gdyż nie wiedziałem, że zwierzęta mogą być tak przywiązane do miejsca i swoich opiekunów. W końcu weszliśmy na miejsce zbrodni, którym była nasza stodoła, gdzie z przerażeniem zobaczyliśmy spalone ciała ludzkie, w większości leżące na toku, czyli inaczej klepisku w grubej warstwie jeszcze gorącej krwi. W pewnym momencie kuzynka Jasińska



poszła do swojego domu zobaczyć, co tam się dzieje z jej dziećmi. Ja stałem osłupiały z wrażenia. Rozglądając się po tej Golgocie, pomyślałem, aby obejść całe to miejsce zbrodni - może uda się kogoś z tych ofiar rozpoznać. Była to najtrudniejsza chwila w moim dziecięcym życiu. Brodząc na bosaka w grubej warstwie krwi, wśród ofiar, stopy miałem oblepione aż po kostki. Usiłowałem za wszelką cenę, odnaleźć kogoś ze swojej rodziny. Rozpoznałem moja mamę wraz z najmłodszymi braciszkami Piotrkim i Aleksandrem, ich kości były splątane w uścisku. Następnie rozpoznałem ojca z czaszką rozrąbaną siekierą, leżącego w miejscu, gdzie go widziałem ostatni raz oraz ciocię Justynę, na której był skrawek niedopalonej bluzki, którą dobrze zapamiętałem. Gdy wyszedłem z tego miejsca kaźni z nogami oblepionymi krwią, których nie miałem gdzie i jak umyć, nie byłem w stanie pójść na pozostałe miejsca zbrodni, które odbyły się w naszej wsi z uwagi na silne emocje, zmęczenie i strach. Później od innych sąsiadów Polaków, którzy przeżyli, dowiedziałem się, że większość mieszkańców wioski została zamordowana w bardzo brutalny sposób, na przykład zgromadzeni na podwórku gospodarstwa państwa Krajewskich w większości zostali zamordowani prostymi narzędziami: siekierami, nożami czy motykami, bez palenia budynków z uwagi na bliskie sąsiedztwo ukraińskich zabudowań. Z rzezi w tej części wioski uratowała się jedynie pani Krajewska z dziećmi, która dotarła do mnie w lesie. Tam w tym kotle zginął mój kuzyn Józef Wereszczyński (l 15) syn Marcelego. Trzecim miejscem mordu był dom Łukasza Wereszczyńskiego, który uciekał razem ze mną lecz został trafiony i zamordowany. Jego dom został spalony i z pewnością wszyscy, którzy w nim byli, musieli zginąć. Nie wiem jak uratowali się nasi kuzyni, Janina i Mirek Wereszczyńscy oraz ich stryj Marcel. Natomiast wiem jak uratowali się mój brat Janek i nasz stryj Stanisław, otóż w czasie, gdy banderowcy zjawili się we wsi, oni ukryli się w odległej części ogrodu stryja i tak szczęśliwie przetrwali. Warte jest zauważenia, że ich szczęśliwe przetrwanie graniczyło z cudem, ponieważ banderowiec, który plądrował ogrody, zabierając kogoś tylko dało do kotła, przeszedł obok nich leżących w brzdach ziemniaków i nie zauważył ich lub nie chciał zauważyć, choć to mało prawdopodobne. Po pośpiesznych oględzinach miejsca zbrodni ponownie spotkaliśmy się z kuzynką Jasińską, oddaliliśmy się we względnie bezpieczne miejsce, naradzając się, co ze sobą mamy począć. Zbliżała się noc, byliśmy głodni i w najwyższym stopniu wyczerpani fizycznie i psychicznie. W końcu z uwagi na zbliżającą się

noc i głód, ciocia Jasińska zaryzykowała i postanowiła udać się do znajomego Ukraińca zamieszkałego w kolonii Pasieka z prośbą o pożywienie i przenocowanie. Było to bardzo ryzykowne, ponieważ ten Ukrainiec mógł nas zdradzić lub sam zamordować, gdyż często zdarzały się takie przypadki, ale też mógł mieć i inne oblicze. Na nasze szczęście gospodarz udzielił nam oczekiwanej pomocy, a sam czuwał całą noc dbając też o własne życie. Banderowcy za jakąkolwiek pomoc udzieloną Polakom przez Ukraińców mordowali ich równie okrutnie. O ile się nie mylę, to w następnym dniu po nocy spędzonej u tego przychylnego nam Ukraińca, spodkaliśmy się z moim bratem Jankiem i stryjcem Stanisławem, byliśmy tym samym podbudowani moralnie i zastanawialiśmy się nad dalszym naszym losem. Praktycznie poza lasem nie było innej alternatywy. Las, co prawda dawał jakieś schronienie, ale nie zapewniał wyżywienia. Wracając jeszcze do 1942 roku, kiedy to będąc w lesie zauważyłem w paproci martwego młodego sowieckiego żołnierza, który miał liczne klute rany w okolicy piersi, usłyszałem trzask suchych gałęzi, rozglądnąłem się i zobaczyłem idącego w moim kierunku człowieka ze szpadlem, który gdy tylko mnie zauważył, natychmiast wycofał się i poszedł w kierunku Spornego Kąta. Rozpoznałem w nim znajomego Ukraińca, zagorzałego nacjonalistę Stepańczuka. Jego zachowanie przesądzało o tym, kto był sprawcą tego mordu. Po powrocie do domu przekazałem tę wiadomość i wówczas moi najstarsi bracia Kazik i Bolek w poczuciu chrześcijańskiej powinności przygotowali krzyż i poszli pochować ofiarę. Przy tej okazji sprawdzili zawartość jego kieszeni, w których znaleźli list z adresem do matki i postanowili po wojnie się z nią skontaktować. Mieli ten list przy sobie do czasu, gdy zostali przyłapani przez Niemców i ze zrozumiałych względów musieli ten list zniszczyć. I jeszcze inny zaskakujący przypadek również dotyczący pomordowanych ludzi, który odkryłem w wyjątkowych okolicznościach. W czasie dozoru pasących się krów na pastwisku w miejscowości Kamyczki z nudów skakałem na piaszczystej stromej skarpie głębokiego jaru. Przy tym skakaniu piach usuwał się spod nóg i za którymś razem zauważyłem odsłonięte z piasku czarne ludzkie włosy. Zaciekawiony zaczęłem rękoma odgarniać piach aż do odkrycia pięcioosobowej rodziny pochodzenia żydowskiego. Zasypałem te ofiary ponownie piaskiem, a w domu opowiedziałem o tym odkryciu. Po pewnym czasie usłyszeliśmy od Polaków z kolonii Wertepy, że pewnego wieczoru podobna grupa osób szła w okolicy zamieszkania wspomnianego już Ukraińca Stepańczuka, którego być może pragnęli

prosić o jakąś pomoc. Był to okres apogeum zagłady Żydów przez Niemców i Ukraińców u nas na Wołyniu. A teraz wracam już do dalszych naszych losów, gdy część z nas pozostałych przy życiu była już razem. Od tej chwili całą gromadką dzień i noc przebywaliśmy w różnych miejscach pod osłoną lasu. Był to bardzo trudny okres do przetrwania, nie tylko z powodu ciągłego zagrożenia życia, ale też z uwagi na zimne deszczowe opady przy naszych prawie „adamowych” okryciach, bez kocy, kołder a nawet zapalek, nie mówiąc już o jakimkolwiek pożywieniu. Szczególnie ciężka sytuacja była z uwagi na malutkie jeszcze dzieci pani Krajewskiej, którą jako pierwszą spotkałem się w lesie po mojej i jej dramatycznej ucieczce spod banderowskich siekier. Pamiętam jak starsi z nas, szczególnie kuzynka Antosia Jasińska z narażeniem życia podejmowała próbę zdobycia u Ukraińców mleka dla tych dzieci. Niebezpieczeństwo było w tym wypadku podwójne, raz dla samej Jasińskiej, a też dla nas wszystkich, ponieważ wracając mogła nieumyślnie wskazać miejsce naszego pobytu. To jakby ironia losu, przecież setki naszych krów zrabowali właśnie Ukraińcy, a nam brakowało do życia choćby szklanki mleka. Płacz dzieci zmuszał nas do ciągłej zmiany miejsca pobytu. W tych pierwszych dniach po morderstwie naszych najbliższych Stryj Stanisław i brat Janek pod osłoną nocy czynili próby podejścia na miejsce zbrodni celem pochowania pomordowanych. Ryzyko było oczywiste, gdyż banderowcy w takich razach czaili się, wiedząc o tym, że ci, co przeżyli przyjdą pochować ofiary. Dopiero po paru podejściach udało się. Pochówek odbył się do wykopanego wspólnego grobu w naszym sadzie w pobliżu miejsca zbrodni. Kości ofiar noszono znalezionymi w ogrodzie koszami, grób zasypano, ale bez krzyża ponieważ nie było ku temu warunków. Można sobie wyobrazić, jakże smutny i trudny musiał to być pochówek, tym bardziej że trzeba było czynić to w dużym pośpiechu pod strachem, w nocnych warunkach i w tak dużym obciążeniu psychicznym. Ja osobiście nie brałem udziału w tym smutnym obrzędzie, bo nie wiem czy udźwignąłbym widok ofiar, które oglądałem już wcześniej. Po pochówku najdroższych nam osób, zapadła decyzja o przedostaniu się do w miarę bezpieczniejszego (przynajmniej tak nam się wydawało) miasta Szumsk, ponieważ tu w takich warunkach nie dało się już dłużej ukrywać. Przedsięwzięcie to nie było łatwe, ponieważ banderowcy obstawiali drogi prowadzące do miast i wyłapywali Polaków, mordując ich. Nim jednak opiszę tę planowaną wyprawę do Szumsk, wspomnę o kilku groźnych wydarzeniach, jakie miały miejsce i niosły bezpośrednie zagrożenie życia dla brata Janka,

stryja Stanisława i dla mnie. Dla bezpieczeństwa praktykowaliśmy zasadę, żeby razem całą grupą nie chować się w jednym miejscu, gdyż w razie wpadki zginęliby wszyscy. Pewnego razu, gdy sam ukrywałem się nocą w lesie pod Ruską Hutą i rano jak zwykle byłem bardzo głodny, wybrałem się do kolonii Przysieka z zamiarem wstąpienia do tego Ukraińca, u którego kiedyś nocowaliśmy, z nadzieją na zdobycie pożywienia. Idąc w tym kierunku polną drogą, będąc już w znacznej odległości od lasu, zauważyłem jak z naprzeciwka tą drogą od strony Androszówki jedzie na koniach czterech lub pięciu ludzi i przecucia mnie nie myliły, byli to banderowcy. Gorączkowo zaczęłem rozważać warianty najkorzystniejszego sposobu uniknięcia wiadomego dla mnie końca. Próba ucieczki z powrotem do lasu lub w jakimkolwiek kierunku nie wchodziła w rachubę, ponieważ oni byli z bronią i na koniach. Dostrzegam inne wyjście, choć nie mam pewności dobrej woli młodych ukraińskich dzieciaków pasących krowy w pobliżu tej drogi, podchodzę do nich, nie zdradzając strachu i proszę, aby tym, co jadą na koniach powiedzieli, że jestem Ukraińcem - zgodzili się. Teraz próba nerwowego opanowania, pocieszałem się jeszcze, że bandyci może nie zwrócą na mnie uwagi, ale myliłem się. Gdy zrównali się z nami, podjechali do nas i bacznie obserwując mnie pytali nas kolejno jak się nazywamy, oczywiście podałem pierwsze znane mi ukraińskie nazwisko. Miałem szczęście, że nie byli to miejscowi bandyci, bo wówczas sprawa miałaby tragiczny dla mnie finał. Jednak coś im się we mnie nie podobało, zapewne to, że byłem bosy, obdarty i wychudzony. Kazali mi odmówić modlitwę po ukraińsku (powszechnie stosowali taką metodę dla rozpoznawania nacji), umiałem dobrze po ukraińsku ich „ojcze nasz”, toteż wyrecytowałem bez zająknięcia i to mnie uratowało dzięki Bogu, i tym razem sprawa skończyła się szczęśliwie. Po tym stresującym przeżyciu ponownie wróciłem do lasu i kolejną dobę byłem głodny. Nie trzeba było długo czekać na kolejne przeżycie i to też za sprawą zdobycia pożywienia i odzieży. Pamiętaliśmy, że nasz ojciec jeszcze za życia oddał na przechowanie zaufanemu Ukraińcowi na hutorze (nazwiska nie pamiętam) bardziej wartościowe rzeczy z ubrań i inne jak np. skrzypce brata Kazika. Tym razem z bratem Jankiem postanowiliśmy udać się właśnie do tego Ukraińca, celem pobrania czegoś z odzieży i oczywiście czegokolwiek do zjedzenia. Ten Ukrainiec wraz ze swoją rodziną należał do wyznania sztundy (świątków Jehowy), byli oni ludźmi uczciwymi i nie mogli kogokolwiek skrzywdzić. Gdy z bratem zmierzaliśmy do tej rodziny, będąc już w pobliżu celu, zobaczyliśmy



jadących na koniach z naprzeciwka (tak jak w poprzednim zdarzeniu) trzech uzbrojonych banderowców. Ta sytuacja z każdą sekundą stawała się dla nas coraz większym, śmiertelnym zagrożeniem. Łudziliśmy się jeszcze nadzieją, że może nie wiedzą kim jesteśmy. Tak czy inaczej zdecydowaliśmy iść w obranym kierunku, przyśpieszając nieco kroku, tak by wcześniej przed nimi dobrnąć do domu tego Ukraińca. Alternatywa odwrotu i ucieczki w tej sytuacji była skazana na niepowodzenie. Udało się przed nimi wejść do domu Ukraińca, był to czas obiadu, z miejsca mówimy o sytuacji i prosimy by wszedł do domu i żeby powiedział, że jesteśmy jego dziećmi, jeśli będą o to pytać. W tym czasie widzimy przez okno w kuchni jak banderowcy zsiadają z koni z zamiarem wejścia do domu. W tej sytuacji Ukraińiec kategorycznie odmówił naszej prośbie, ale wskazał ręką na pokój i w tym momencie słyszemy jak banderowcy wchodzą do domu. Ruszyliśmy do wskazanego pokoju, w którym zauważyliśmy jeszcze jedne drzwi, a po otwarciu ich znaleźliśmy się w przedsionku, w którym były też drzwi wyjściowe do ogrodu i drabina do wejścia na strych. W pierwszej chwili brat ruszył na drabinę, co według mnie równało się śmierci, nie byłem zwolennikiem zamkniętych przestrzeni, chwytam za koszulę brata i ściągamy go błyskawicznie na dół. Udało się otworzyć drzwi do ogrodu, które były tylko zaryglowane i już jesteśmy na zewnątrz, pędząc, co sił w kierunku lasu. Gdy jesteśmy już na znacznej odległości od domu, padają pierwsze strzały za nami, jednak w bardzo szybkim i kłuczącym biegu nie zostaliśmy trafieni i szczęśliwie dopadliśmy zbawczego lasu. Na szczęście w tym miejscu las był zróżnicowany w zaroślach i wertepach, co sprzyjało nam i chroniło przed pościgiem konnym, czego zresztą nie próbowali na nasze szczęście. Tak więc kolejny raz dzięki opatrności Boga wyszliśmy z opresji z życiem. Nigdy już nie miałem okazji spotkać tego Ukraińca, który zapewne był nam życzliwy i rozumiem go, dlaczego nie mógł spełnić naszej prośby. Nie wiem też, co go spotkało, przeczuwam, że mogli go zabić wraz z rodziną za przychylność Polakom. Ten opisany przypadek to jeszcze nie koniec naszych dramatycznych przeżyć i walki o przetrwanie. Kolejne wydarzenie przeżyliśmy razem ze stryjem Stanisławem, który był moją ostoją i poręczycielem nadziei. Pewnej nocy dla większego bezpieczeństwa udaliśmy się do znanego stryjowi Ukraińca zamieszkałego na hutorze iserneckim celem przynocowania tej nocy, która była bardzo deszczowa i diabelnie zimna. Zbliżając się już do celu, usłyszeliśmy skrzyp furmanek i jakieś głośne zachowania ludzkie, jechali oni z lasu, z którego myśmy wyszli i

zbliżali się w naszym kierunku. W tej sytuacji zmuszeni byliśmy szybko wycofać się na pobliską łąkę, która była jedynym w miarę bezpiecznym miejscem ukrycia się. Dzięki ciemnościom nie zostaliśmy zauważeni, ale zmuszeni byliśmy zorganizować sobie inne miejsce przetrwania tej bardzo deszczowej nocy. Problem polegał na tym, że do lasu nie mogliśmy powrócić, ponieważ z niego dobiegały nas wciąż odgłosy ludzi i jadących wozów. Świadczyło to o jakimś przegrupowaniu, a jeśli tak - to mogli to być tylko banderowcy, tym bardziej, że usłyszeliśmy bełkot ukraińskiej mowy. Jak już, co prawda słabo, zauważyliśmy ich, to się okazało, że zaczęli zakwaterowywać się w ukraińskich gospodarstwach na noc, między innymi w domu, który był też naszym celem. Byliśmy do nitki przemoczeni i postanowiliśmy ułożyć się w kopce siana, wydawało mi się, że mimo wszystko to najlepsze rozwiązanie. Nie byliśmy nawet w stanie czuwać nad naszym bezpieczeństwem choć, banderowcy wciąż buszowali w tych ukraińskich domach. Sen nas tak szybko zmożył, że kiedy obudziliśmy się rankiem o wschodzie słońca, okazało się, że od połowy leżymy w deszczowej kałuży, czego nie odczuwaliśmy podczas głębokiego snu. Obecnie opiszę następne z kolei dramatyczne wydarzenie, które mogło dla nas zakończyć się tragicznie. Codziennością naszą były starania w zdobyciu pożywienia. Tym razem byliśmy małą grubką osób, w której między innymi byli: Marcel Wereszczyński, jego bratanica Jadzia I.18, ja i jeszcze dwie osoby, których już nie pamiętam. W tej misji zdecydowaliśmy pójść do naszej wsi, do - jak się wydawało - bardziej zaufanych Ukraińców z nadzieją otrzymania jakiegoś poczęstunku, tym bardziej, że oni przecież zagarnęli naszą trzodę i różnego rodzaju dobytek. Czasowo przycupnęliśmy w mało uczęszczanym miejscu wśród piaskowych skał w trawiastym, dobrze maskującym terenie. Ukryci tu wyczekiwaliśmy wieczoru, gdy Ukraińcy zejdą z ogrodów do domów. Ponieważ to nasze miejsce było w pobliżu zabudowań państwa Krajewskich, gdzie na podwórku był drugi kocioł podczas masakry Polaków, w którym zginął syn Marcelego I.15, zapragnął on zobaczyć to miejsce, wobec czego ja również z nim się wybrałem. Narazie panował całkowity spokój, wobec czego pod osłoną ogrodów zmierzaliśmy do tych interesujących nas zabudowań. Jak się okazało opłotowanie tego gospodarstwa było wykonane z wysokich desek, co uniemożliwiało zobaczenie czegokolwiek wewnątrz gospodarstwa, a miało to kapitalne znaczenie dla dalszej sprawy. Otóż, gdy zbliżyliśmy się do tego gospodarstwa i otworzyliśmy furtkę, oniemieliśmy z wrażenia, przed nami stał uzbrojony banderowiec, a na

podwórku było pełno koni. W tej sytuacji błyskawicznie robimy zwrot i w szalonym pędzie uciekamy - Marcel ogrodami do punktu wyjściowego, ja w myśl zasady by nie być razem, biegnę przez podwórko ukraińskiego sąsiada o nazwisku Jakym w kierunku kolonii Wertepy z dalszą perspektywą ucieczki do hurbieńskiego lasu. Padają pierwsze strzały i zaczyna się pogoń banderowców za nami. Gdy pokonuję podwórko Jakyma, na huk wystrzałów on wybiega z domu i leci do mnie coś krzyżąc, ja nie wiedząc, jakie ma intencje wobec mnie nie zatrzymuję się i zmierzam w obranym kierunku. Kątem oka widzę jak pozostali z naszej kryjówki uciekają prawie równolegle ze mną, ale w kierunku wschodnim, do którego jest stosunkowo bliżej. Ja już jestem w brzozowym lasku i z góry mam znaczną przewagę odległości od goniących mnie banderowców, którzy zorientowali się, że mnie nie dogonią, ustawi się przy drzewach dla lepszego celu i gęsto mnie ostrzeliwują. Ja już za chwilę będę w czystym polu i będę miał pod górkę, potwornie zmęczony pokonuję ją i słyszę jak obok mnie z każdej strony świszczą w piasku kule, jednak dzięki Bogu zdobywam szczyt góry, z której przekraczam drogę Hurby – Androszówka i po krótkim odpoczynku nie zwalniając tępa zmierzam ku hurbieńskiemu lasu. Osiągnąwszy obrany cel, mogłem spokojnie odpocząć, ale nurtowała mnie myśl, co z pozostałymi moimi rodakami biorącymi udział w tej ucieczce. Dopiero po dwóch dniach spotkaliśmy się i jak się okazało w czasie tej ucieczki została trafiona kulą 18 letnia Jadzia Wereszczyńska, córka Łukasza, który zginął wcześniej, gdy razem ze mną uciekał. Ci, co widzieli jak Jadzia została trafiona opowiadali, że jeszcze żyła, kiedy dopadli ją banderowcy i dokonali dzieła zbrodni. Dopiero po 60 latach dowiedziałem się od jej brata Mirka, że banderowcy mordując Jadzię, wycieli nożem na jej plecach krzyż i tak rozstała się z życiem. Nadmienić warto, że banderowcy z całą bezwzględnością mordowali też swoich pobratymców, którzy w jakikolwiek sposób pomagali Polakom lub którzy z mieszanych małżeństw zobowiązani byli zabić współmałżonka i dzieci pochodzenia polskiego, a tego nie uczynili. Znam taki fakt z naszej miejscowości, Ukrainiec Bondarczuk ożenił się z Polką Marią Krajewską, banderowcy kazali mu zabić ją, czego on nie uczynił - wówczas zastrzelili go na grobli przy młynie w Szumsku. A pani Maria Krajewska przeżyła i po wojnie wyjechała z nami na Ziemię Odzyskane. Sądzę, że wiele jeszcze innych drobniejszych wydarzeń zasługuje na wspomnienie, ale pominię je z uwagi na tragizm głównego nurtu wydarzeń. Wspomnę jednak o tym, że jeszcze przed 3 lipca 1943 roku banderowcy zabili 18-to

letniego Stanisława Bubla. Jego pozostała rodzina przeżyła i po wojnie zamieszkała w Łosiowie w województwie opolskim. Z jego braćmi Kazimierzem i Antonim utrzymywałem kontakty, niestety obaj już nie żyją. Teraz wracam do przygotowań nas pozostałych przy życiu do przedostania się do miasta Szumska. Była to wyprawa trudna, niebezpieczna i niesamowita w swym rodzaju. Byliśmy świadomi tego, że wszystkie drogi prowadzące do miast były przez banderowców kontrolowane toteż z tego względu należało poruszać się nieuczęszczanym terenem, czyli leśnym. Całe szczęście, że prowadził nas mój stryj Stanisław, co podtrzymywało nas na duchu. Mobilizowaliśmy w tych przygotowaniach wszystkie siły, doświadczenia i determinację, bo była to wyprawa nadziei. Przed planowanym wymarszem nocą jakimś cudem kobiety zdołały zdobyć mleko w butelkach dla dzieci pani Krajewskiej, co było bardzo ważnym przedsięwzięciem na dalszą drogę. Ruszyliśmy nocą leśnym terenem z dala od główniejszych szlaków, noc była ciemna i zimna, ale sucha, co sprzyjało w tym marszu. Nie sposób opisać wszystkich okoliczności tej wyprawy, ograniczę się tylko do tych, które utrwaliły mi się na zawsze w pamięci. W pewnej chwili na kierunku naszej wyprawy usłyszeliśmy rżenie konia. Było oczywiste, że w nocy koń nie mógł być sam w lesie, a więc musiało w pobliżu być banderowskie lub inne partyzanckie obozowisko. Zatrzymaliśmy się, by rozważyć jak postąpić w tej sytuacji, a tu jak na złość rozplakało się jedno dziecko..Tak więc stryj nakazuje zmianę kierunku marszu i zaczynamy przedzierać się przez zarośla na tym nowym kierunku, co bardzo utrudnia przemarsz i nie możemy utrzymać się w zwartej grupie. Jeszcze nikt nas nie ściga, nadal panuje błoga nocna cisza. Po oddaleniu się na znaczną odległość zmuszeni jesteśmy przekroczyć leśny dukt. Pokonujemy go gęsiego. Szliśmy ze stryjem pierwsi, zawsze się jego trzymałem. Gdy byliśmy już na dukcie, raptem oniemieliśmy z wrażenia i ze strachu, bowiem z przeciwnej strony lasu wyszedł na wprost nas uzbrojony człowiek. Stanęliśmy naprzeciwko siebie jak zahipnotyzowani, w milczeniu i jakby na rozkaz wycofujemy się na poprzednie swoje miejsca. On i my. Zdarzenie nieprawdopodobne, ale nic się nie dzieje, wobec czego z duszą na ramieniu ruszyliśmy jeszcze w innym kierunku i wciąż cisza, żadnych znamion pościgu. Po oddaleniu się na dalszą odległość, zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Przy tej okazji próbowaliśmy rozszyfrować zaistniały incydent. Sądziliśmy, że mógł to być do nas podobny uciekinier tylko uzbrojony lub polski czy sowiecki partyzant, który był zorientowany, kim my jesteśmy. Po długim i



wyczerpującym marszu nad ranem znaleźliśmy się w miejscowości Malinów, blisko już docelowego Szumska. Na wzgórzu lasu Malinowa zatrzymaliśmy się, a w dole jak na dłoni widzimy dopalający się tartak, wobec czego zaostrzyliśmy swoją czujność, gdyż mogli tu być jeszcze banderowcy. Nie myliliśmy się, byliśmy jednak niewidoczni na wzgórzu w lesie i czuliśmy się dość bezpiecznie. Odpoczywamy i bacznie obserwujemy teren, raptem zauważyliśmy przejeżdżających banderowców drogą od strony Cyranki do Suraża, którą to mieliśmy przekroczyć w drodze do Szumska. Przeczekaliśmy ich przejazd i po przejściu obok dopalającego się tartaku wkroczyliśmy do Cyranki, przedmieścia Szumska, w której napotkaliśmy dużo nam podobnych uciekinierów z różnych stron wołyńskiego terenu. Następuje chwila radości, bezładna gorączkowa wymiana zdań, uściski, łzy, podziękowania Bogu za przeżycie. Przecież my tu wszyscy obecni podobnie przeżyliśmy gehennę śmierci swoich najbliższych, a sami tragicznie doświadczyliśmy trudnych ocalań. Po tych pierwszych emocjach i wzruszeniach następuje realna troska, co będzie dalej, jak, gdzie i z czego żyć, przecież nas tu setki, jeśli nie tysiące, a banderowcy w najlepszym rozkwicie, coraz silniejsi i rozzuchwaleni. Takie to pesymistyczne nastroje towarzyszyły nam w ostatnim odcinku drogi z Cyranki do Szumska, na którego ulicach stanęliśmy pięknego słonecznego dnia w sierpniu 1943 roku. Pamiętam jak stanęliśmy na gorącym bruku centralnego placu tego miasta biedni, głodni, oberwani i do granic możliwości umęczeni. Nie było tu żadnej pomocy, np. z Urzędu Miasta, bo przecież była niemiecka okupacja. Od tej pory rozpoczyna się jakby drugi rozdział mojego i innych uciekinierów życia. Tu w tym mieście dużo takich jak my egzystowało wprost na ulicy, na skwerach, a inni co szczęśliwsi rozlokowali się w wolnych domach lub w mieszkaniach po Żydach wymordowanych przez Niemców i Ukraińców. Gdy tak staliśmy na tym placu, a raczej siedzieliśmy zmęczeni, podeszła do nas starsza pani, przygląda się nam i proponuje bezinteresownie pomoc i nocleg we własnym domu tegoż miasta. Była to pani Jankowska z mężem Rafałem, z synem Stanisławem, synową Genowefą i córką Marylą, szlachetna postać, zapamiętana przez nas wszystkich. Później przez jakiś czas p.Jankowska ze swą rodziną stanowili dla nas zastępczy dom, a dla mnie osobiście na dłuższy czas zastępczą rodzinę. Po tych tragicznych dniach, utraty rodziny, w następstwie czego jakby bloku psychicznym, zaoferowanie nam tyle ludzkiego ciepła było najwyższą wartością człowieka w jego oddaniu drugiemu. Moim stryjem i

bratem zaopiekowała się tymczasowo rodzina państwa Myślińskich zamieszkała w drugiej części domu państwa Jankowskich, która pochodziła z Rachmanowa oddalonego o 3km od Szumska. W późniejszym czasie stryj z bratem zamieszkali razem z inną rodziną w jakimś nowym domu. Wszystko, co mnie otaczało w tych nowych warunkach, było dla mnie nowością, ale szybko adaptowałem się do nowych okoliczności. Wydawać by się mogło, że życie normalizuje się, a przecież jeszcze wiele miało się wydarzyć w dalszej naszej przyszłości. Codziennie byliśmy świadkami totalnej eksterminacji polskiej ludności, która była całkowicie bezbronna, szczególnie w swoich rodzinnych małych miejscowościach. Był to jeszcze ten czas, gdy Ukraińcy, którzy służyli ochotniczo w niemieckich wojskowych jednostkach SS Galizien, czy batalionach ROLAND i NACHTIGAL, uciekali z posiadaną bronią i wracali do baz banderowców, tym samym wzmacniając ich bardzo poważnie liczebnie i zbrojnie. Banderowskie formacje przybierały na sile do tego stopnia, że zaczęły czynnie zagrażać jednostkom wojsk niemieckich. Przyczyną takiego stanu było to, że Niemcy zawiedli ich oczekiwania – nie stworzyli obiecanej wolnej Ukrainy, jak też zbliżający się front wojenny, tym razem ze wschodu na zachód. W tej sytuacji niemieckie władze okupacyjne pozwalają na polską samoobronę, oczywiście między innymi we własnym interesie. W tych oddziałach samoobrony, podporządkowanych niemieckiej administracji, byli przeważnie nasi młodzi chłopcy, ale z ogromnym ładunkiem emocjonalnym chęci odwetu za śmierć swych najbliższych. Niemcy wysyłali tych naszych uzbrojonych chłopców od ukraińskich chłopów po zabór przeważnie produktów żywnościowych. Oczywiście przy takich okazjach, gdy napotykali mniejsze grupy banderowców, brali odwet za swoje krzywdy, ale i sami ponosili straty osobowe. Podczas jednej z wypraw nie wrócili na czas do bazy, okazało się, że wpadli w banderowską zasadzkę w głębokim wąwozie na drodze do Suraża i wszyscy zginęli. Z wielkim przerażeniem oglądałem ciała tych chłopców, ułożone na trawie przy poczcie w sąsiedztwie miejsca mojego zamieszkania. Byłem również naocznym świadkiem makabrycznego widoku masowo zamordowanych Polaków z pobliskiej wsi Załuże, przywiezionych na dwóch drabiniastych wozach do Szumska na plac przykościelny. Co się później stało z tymi ofiarami i gdzie ich pochowano, tego już nie widziałem. W czasie banderowskiego napadu na Załuże, na odsiecz napadniętym Polakom pośpieszyli z Szumska Polacy z samobrony, zwani przez Niemców Szucmanami, dzięki czemu dużo

polских rodzin uratowano. Jak się później okazało w tych walkach z banderowcami zginął dobrze mi znany banderowiec Kola Stepańczuk, syn Aleksandra Stepańczuka - zagorzałego nacjonalisty, naszego sąsiada z Zielonego Dębu, o którym już wspominałem, bo właśnie on przyczynił się do morderstwa mojej rodziny i wielu innych ludzi. Jeśli już jestem przy tych mrocznych wizjach, to chciałbym powiedzieć o swoich osobistych stanach załamania psychicznego. Gdy nachodziły mnie chwile bolesnych wspomnień o moich najbliższych, którzy tak tragicznie poszli już do wieczności, wychodziłem ukradkiem z domu nad rzeczkę Wilię, siadałem nad jej brzegiem i patrząc na lasy w kierunku mojego miejsca urodzenia w samotności rzewnie płakałem, mając przed oczami tę rzeź, którą widziałem i przeżywałem. I nie raz w tym miejscu zasypiałem. Moi opiekunowie często mnie poszukiwali i gdy później zorientowali się w przyczynach mojego zachowania, uszanowali moją niesubordynację w znikaniu bez zapowiedzi. Zbliżał się front tym razem ze wschodu na zachód, a banderowskie hordy coraz to bardziej zaciskały pierścień wokół naszego miasteczka, szykując się na rzeź nas Polaków, a było nas tu tysiące. Oczywiście UPA kalkulowała, że gdy Niemcy będą opuszczać miasto, to oni bez tchu przystąpią do swojej morderczej misji, czego najbardziej obawialiśmy się. W związku z tym powstał komitet samoobrony, na czele którego stanął mój opiekun Stanisław Jankowski, człowiek odważny, energiczny, po służbie wojskowej, budzący szacunek i zaufanie. Gdy okresowo stacjonowały u nas wojska węgierskie, zakupiono od nich znaczną ilość broni różnego rodzaju i amunicji. Na zarządzenie samoobrony ludność polska miasta została zakwaterowana w kościele, który miał stanowić obronną fortecę, a miał ku temu warunki z uwagi na miejsce położenia na wzgórzu i masywne mury obronne. O ile się nie mylę, byliśmy w kościele zgrupowani przez dwa tygodnie. Nie będę opisywał, jak trudne były warunki przetrwania w zamkniętym obiekcie dużej ilości ludzi. Atmosfera była bardzo stresująca, ale był to dla nas jedyny ratunek w murach tego kościoła. Wszyscy mieli obowiązek utrzymania w tajemnicy sił i środków oraz taktyki obrony, ponieważ różnymi sposobami przenikały do miasta banderowskie wtyczki. Mieli oni ułatwione zadanie, ponieważ w mieście mieszkało też dużo Ukraińców, wcale przychylnie nieustosunkowanych do Polaków. Wspomnę, że w podobnych okolicznościach Polacy broniąc się w klasztorze w Pokamieniu na Podolu, przez nieuwagę wpuścili do środka banderowca udającego Polaka, skutkiem czego za nim wtargnęło dużo morderców do środka świątyni i zamordowali ukrywających się tam

300 osób. Rok 1944 - Niemcy uciekając przed wschodnim frontem, opuszczają miasto. Nadciągający front poprzedzają silne oddziały sowieckiej partyzantki imienia generała Kowpaka. Pamiętam jak przybyli emisariusze tej partyzantki i zażądali wpuszczenia ich do kościoła celem zbadania uzbrojenia i systemu obrony, rzekomo skierowanemu przeciwko nim. Ta sytuacja była trudna do rozszyfrowania, zachodziło podejrzenie podstępny, notowane były takie metody stosowane przez banderowców, jak np. w moim Zielonym Dębnie, gdzie podając się za sowieckich partyzantów, wymordowali między innymi i moją rodzinę. Kierownictwo naszej samoobrony po dłuższych naradach i sądowaniu zdecydowało nie wpuścić przybyszów do kościoła, ponieważ nie gwarantowali oni tożsamości sowieckich partyzantów. Uzgodniono z nimi, że mają przyjść wyżsi rangą oficerowie z ich sztabu. Tak się też stało, przybyli oficerowie zostali wyligitymowani i wpuszczeni do kościoła. Przekonali się oni, że faktycznie są tu ukryci Polacy przed banderowcami. W tych rozmowach wyszło na jaw, że banderowcy zastosowali chytry podstęp rozpowszechniając pogłoskę, że Polacy przygotowali się w kościele do zaatakowania sowieckich partyzantów w chwili wkraczania ich do miasta. Banderowcy tym sposobem chcieli czyimiś rękoma nas wymordować, wiedząc, że tak silna partyzantka i doskonale uzbrojona rozbiłaby nas całkowicie. Rosjanie niezupełnie orientowali się w panującej tu na tych terenach sytuacji narodowościowej, toteż zupełnie poważnie potraktowali donosy Ukraińców, do tego stopnia, że przed kościołem ustawili działka małokalibrowe wymierzone w kościół. Finał tego zajścia skończył się pomyślnie, a my od tej chwili wyszliśmy z kościoła. Najważniejsza próba przetrwania tym razem za nami, choć jeszcze często i gęsto lała się krew naszych rodaków z ziem kresowych. Przed regularnymi wojskami sowieckimi zbliżającego się frontu, owi partyzanci na krótko pozostali w mieście, zapewniając nam bezpieczeństwo. Później wyruszyli w dalszą drogę w kierunku Krzemieńca. A u nas powstaje władza sowiecka, tak więc od 1939 roku po raz drugi mamy tego samego okupanta i nadzieję na „światłą przyszłość”, na którą niedługo trzeba było czekać. Tak, tak, my już to znaleźliśmy, że był to beznadziejny, dyktatorski system polityczno-gospodarczy, czego skutki doświadczamy do dziś, choć już od 20 lat mamy wolny i praworządny kraj. W 1945 roku 9-go maja Niemcy kapitulują, a więc koniec wojny. W naszym mieście budzi to powszechną radość, są łzy, uściski, euforia i ogólne szczęście. Szybko jednak radość blednie, bowiem jest już decyzja Moskwy na wysiedlanie nas Polaków na



poniemieckie tereny na tzw. Ziemię Zachodnią podobno „wolnej Polski”. Jeszcze przed repatriacją z rodzinnych stron na zachód, sięgnę na chwilę do odniesień i wzruszeń osobistych, które zapamiętałem z pobytu w Szumsku. W 1944 roku zacząłem uczęszczać do szkoły powszechnej oczywiście w języku rosyjskim, gdzie bałamutnie wpajano nam o jakże wielkiej szczęśliwości życia narodu radzieckiego pod przewodnictwem ukochanego wodza Józefa Wisarionowicza Stalina. Można by jeszcze wiele mówić na temat ich dobroci, wolności i radości, ale darujmy sobie to. Ponieważ służyłem do mszy świętej toteż musiałem się z tym zachowywać konspiracyjnie. Mile natomiast wspominałem przyjaźń z kolegą Jurkiem Renczem, synem rodziców Leokadii i Witolda Rencz, krewnych z rodziną Jankowskich - moich opiekunów. Był on chłopakiem roztropnym, obrotnym i godnym zaufania, mieliśmy wspólne pomysły, marzenia i kłopoty. Los nas rozdzielił i po wyjeździe na Ziemię Odzyskaną on po wielu latach nauki został lekarzem weterynarii i pracował w Brzegu Głogowskim, a ja mieszkałem w Gorzowie Wielkopolskim, to pozostawaliśmy wierni naszej przyjaźni. Wracam jeszcze do pobytu w Szumsku, otóż zimą 1944 roku NKWD przychwyciło groźnego banderowca, który miał na sumieniu śmierć 15-tu Polaków i 1-go Rosjanina. Wydali na niego wyrok śmierci przez powieszenie w centralnym miejscu miasta. Wcześniej obstawili miasto wojskiem przed ewentualnym odbiciem mordercy przez banderowców. Wykonali szubienicę i powiadomili społeczność o czasie egzekucji. Na umówiony czas przywieźli skazańca na skrzyni samochodu, odczytano wyrok, założono mu pętlę na szyję, samochód odjechał a łotr zadyndał na sznurze. Oglądałem to z wieloma mieszkańcami tego miasta z pewnym napięciem, ale nie ukrywam, że i z ulgą, bo to była jedyna sprawiedliwość, jaką widziałem w dotychczasowym swoim życiu za zbrodniczą rzeź nas Polaków. Zgodnie z poleceniem władz NKWD ten morderca miał wisieć przez kilka dni. Tak się składało, że codziennie wieczorem nosiłem posiłki mojemu opiekunowi panu Stanisławowi Jankowskiemu, który pracował w sowieckiej radiostacji w porze nocnej, a droga do niej prowadziła właśnie przy tym wisielcu. Przechodząc obok tego łotra, zatrzymałem się i co sił bujałem go za nogi z poczuciem odwetu za krzywdę naszych najbliższych. Wilka ciągnie do lasu. Będąc jeszcze w Szumsku przed planowanym wyjazdem do Polski postanowiliśmy z bratem Jankiem po raz ostatni udać się do rodzinnego miejsca, z myślą o ewentualnym odzyskaniu jeszcze czegoś. Wiedzieliśmy o zakopanym kufrze w stodole (może go jeszcze nikt nie

odkrył), a zależało nam szczególnie na odzyskaniu czegoś z odzieży. Sądziliśmy, że po dłuższym już czasie banderowcy nie będą penetrować spalonego terenu. Obrona trasa naszego przemarszu w końcowej fazie tuż przed naszą miejscowością wiodła młodym sosnowym zagajnikiem, który sięgał do drogi łączącej nasze ogrody. Było jasno, samo południe, a my poruszaliśmy się nadzwyczaj ostrożnie. Zupełny spokój w otaczającym nas terenie ośmielił nas do bardziej swobodnego poruszania się, tak że szliśmy w normalnej wyprostowanej pozycji. Raptem zauważyliśmy na rozstaju dróg przy zabudowaniach Krasickich uzbrojonego jeźdźca na koniu, stojącego w miejscu, który bacznie nas obserwował z tendencją ruszenia w naszym kierunku. W tej sytuacji zaczęliśmy uciekać, każdy w inną stronę z myślą, że może jednemu uda się przeżyć. Brat ruszył rowem wzdłuż zagajnika w przeciwnym kierunku do jeźdźcy, ja wybrałem kierunek zabudowań Bublów, a w dalszej perspektywie dużych sadów w Pasiece. Ten pierwszy odcinek mojej ucieczki był polem z wyrosniętym żytem, biegnąc nim na chwilę obróciłem się i zobaczyłem jak jeździec w galopie bierze mój kierunek. Nabieram coraz to większego przyśpieszenia, a ponieważ pokonuję bujne zboże - szybko się męczę. Oceniam, że nie zdążę do zabudowań, a tym bardziej do sadów, serce biło tak mocno, niemal rozrywało klatkę piersiową, pot zalewał oczy i zabrakło już sił do dalszej ucieczki, a jeździec nieubłaganie się zbliżał. I wreszcie przyszedł kres, zabrakło fizycznych możliwości, nieprzytomny z wysiłku i strachu padam, wiruje mi w głowie, nie wiem, co się ze mną dzieje. Słyszę i widzę jak koń ostro hamuje przy mnie, patrzę na swojego kata i rozważam, czy mnie zastrzeli, czy w inny sposób zamorduje. Rzecz niezwykła, patrzymy na siebie wzajemnie i widzę jak domniemanemu bandycie spływają z oczu łzy. Patrzy on na mnie bez słów, a i moje oczy pełne są łez, gdy rozpoznaję w nim Michała Krasickiego, najstarszego syna rodziny Krasickich (I.22). Ja nie wiedziałem o tym, że był on w AK lub w rosyjskiej partyzantce. Gdy tak przez dobrą chwilę patrzymy na siebie, w tej wyjąkowej sytuacji, w końcu powiedział do mnie - Ambroży, niech Bóg ma was w swej opiece, chciałem was spotkać i dać znak, że żyję, ale nie mogę w niczym wam pomóc, żegnaj i ratujcie się jak tylko możecie i odjechał. Ja od siebie nic nie powiedziałem, tylko czułem jak zapadam się pod tę ziemię, na której leżałem, tu w tym miejscu, gdzie dane mi było raz jeszcze powrócić do życia. Michał zapewne przyjechał na swoje rodzinne miejsce, miejsce wymordowania swojej rodziny, w tym 105 - letniego dziadka Romana Krasickiego, zamordowanego ze szczególnym

okrucieństwem i na koniec powieszono go za nogi głową w dół na owocowym drzewie w jego sadzie. Do dziś nic nie wiadomo o Michale, jego losy nie są znane. Już po wojnie, mieszkając na Ziemiach Zachodnich, przypadkowo spotkałem jego młodszego brata Antoniego, ale i on nie wiedział nic o swoim bracie Michale Krasickim. Po odjeździe Michała, w końcu pozbierałem się i poczyniłem starania w odnalezieniu brata i dopiero po dłuższym czasie odnaleźliśmy się. Oczywiście po tych przejściach zrezygnowaliśmy z odwiedzin stron rodzinnych, ponieważ chcieliśmy przed nocą powrócić do Szumska odległego o 16 km, i tak też szczęśliwie się stało. Zbliżał się termin naszego wyjazdu na zachód, już w drugiej połowie maja 1945 roku wyruszamy pierwszym transportem, na razie taborem konnym, z całym możliwym dobytkiem (jeśli ktoś miał) z Szumska do Jampola, miejscowości w przedwojennej Rosji Sowieckiej. Transport ten odbywał się pod strachem możliwego napadu UPA, tym bardziej, że Rosjanie nie dali nam zbrojnej ochrony. Gdyby napadli nas banderowcy, zginęłoby tysiące ludzi, dziś zastanawiam się, czy nie byłoby to na rękę Rosjanom? Tak się złożyło, że nie było nam dane z bratem i stryjem Stanisławem razem tym transportem wyjechać. My sami nie mieliśmy na to wpływu, była to dla mnie i nas wszystkich bardzo smutna i bolesna chwila rozstania, nie wiedzieliśmy czy kiedykolwiek jeszcze zobaczymy się. W Jampolu podczas dwutygodniowego oczekiwania pod gołym niebem na pociąg, musieliśmy jakoś przetrwać, wyżywić siebie i zabraną trzodę. Najgorzej było z wodą, a ta stacja kolejowa to był zwykły przystanek w szczerym polu bez budynku dworcowego, a pobliska wioska to dosłownie ziemne lepianki, także znikąd żadnej pomocy, przeciwnie trzeba było dobrze się pilnować, by nie dać się okraść miejscowej ludności. Jediną rzeczą, z której korzystaliśmy, to wypasanie trzody na ugorach i kołchozowych polach. Dobrze zapamiętałem tan wypas krów i koni, jaki przypadł mi w udziale, w czasie którego zostałem uderzony butelką po piwie w głowę (do dziś mam bliznę) przez ruskiego złodziejaska, gdy sprzeciwiłem się grabieży zwierząt powierzonych mojej opiece. Cieszę się jednak, że tylko tym się skończyło. Wreszcie po długim oczekiwaniu podstawiono pociąg i załadowaliśmy się na towarowe, odkryte wagony (tzw. płaszczadki) i kryte wagony dla zwierząt. Jak było bardzo zimno lub deszczowo, niektórzy starsi przechodzili do krytych wagonów, wciskając się między zwierzęta i dopiero tam było im ciepło i przyjemnie. Inne niedogodności darujmy sobie, mając wyobraźnię, można sobie dopowiedzieć jak "miła" to mogła być podróż trwająca 16 dni i nocy. Kiedy pociąg stanął na stacji

w Tarnopolu, wydało się nam niezwykłą rzeczą jak zobaczyliśmy na peronie gromadę kobiet (polskich i ukraińskich), które nawoływały do kupna "świeżyje bułeczki", z czego bardzo chętnie korzystaliśmy, bo w tych warunkach, kiedy brakowało nawet chleba był to dla nas rarytas. Szczególnie zapamiętałem moment, gdy opuszczaliśmy Lwów, ostatni bastion Kresów, naszej rodzinnej rubieży. Byliśmy ogarnięci żalem, ściskało wszystkich w gardłach, chóralnie płakaliśmy ogarnięci nostalgią, a każdy z nas miał świadomość, że nigdy już tu nie wrócimy i nie myliliśmy się. We Lwowie Polacy gromadnie nas żegnali śpiewając znane patriotyczne pieśni, wołając do nas byśmy szybko wracali do swoich korzeni. W czasie tego długotrwałego transportu jeszcze wiele różnych rzeczy się wydarzyło godnych podkreślenia, ale zajęłoby to zbyt dużo czasu. Docelowo dotarliśmy na Śląsk do Opoła, gdzie wyładowaliśmy się, a czasowo zamieszkaliśmy w pobliżu dworca PKP w opuszczonych budynkach kolejarzy niemieckich. Kufry, skrzynie, różne ciężkie przedmioty i trzodę ulokowaliśmy na zewnątrz budynków, które były dozorowane na zmianę przez starsze osoby. Miasto było całkowicie opuszczone przez ludność niemiecką. Jedynie panowało tu sowieckie i polskie wojsko, żadnej jeszcze władzy, panowało bezprawie i kwitł szaber przez różnych cwaniaków. My czekaliśmy na dalsze przyszłościowe rozwiązanie. Zanim ono nadeszło, wspomnę może mało znaczący incydent, który wydarzył się w obrębie naszego zamieszkania. Jak już wcześniej wspominałem nasze różne przedmioty były na zewnątrz bloku dozorowane przez wyznaczoną osobę. W tym dniu dyżur pełniła Maryla Jankowska (I.18), do której przyszedł rosyjski kapitan i bez przesadnych uprzejmości sowieckim sposobem domagał się nazwijmy to romansu. Narobiła ona krzyku, co wszyscy usłyszeli w bloku i natychmiast wybiegli. Stanisław Jankowski, jej brat i kuzyn Witold Rencz po drodze wyłamali sztachety przyogrodowe, którymi skutecznie wybili z głowy kapitanowi amory tak, że nawet nie był w stanie wyciągnąć nagana z kabury. Zdażył uciec do swojej jednostki, a nasi panowie świadomi zagrożenia uciekli schronić się do miasta. W krótkim czasie wpadli do nas sowieccy bojcy przeczesując wszystkie pomieszczenia celem schwytania winnych, tymczasem w budynku był tylko jeden mężczyzna, mój kuzyn Marcei Wereszczyński, który spał w swim pokoju nie spodziewając się niczego, raptem usłyszał ładowanie broni i miał być zabity. Dzięki jednak naszym kobietom, które z wielką desperacją przekonały wojaków, że to nie o tego człowieka chodzi, wszystko dobrze się skończyło. I jeszcze jedna niebezpieczna okoliczność, która mogła



skończyć się tragicznie. Z moim kolegą Jurkiem Renczem wybraliśmy się do miasta Opoła, wałęsając się po pustych ulicach, weszliśmy do pewnej niemieckiej szkoły, gdzie w piwnicy przeglądaliśmy zapasy przyborów szkolnych: zeszyty, książki, globusy i dużo stojących na regałach litrowych butelek z napisem tinte. Coś nas podkuśiło i wzięliśmy parę butelek tego atramentu i rozbiliśmy o posadzkę. W tym czasie usłyszeliśmy jakieś kroki na głównym korytarzu, wybiegliśmy z tych labiryntów różnych korytarzy do wyjścia i zauważyliśmy dwóch umundurowanych żołnierzy niemieckich, którzy oddali do nas kilka strzałów z pistoletów ręcznych. Byliśmy wystraszeni i szybko oddaliliśmy się z tego miejsca. Jest podejrzenie, że sądzili, że wojsko lub policja ich odkryła, w każdym razie na zewnątrz z budynku nie wyszli. W tym okresie w Opolu przy jednostce wojska polskiego został utworzony PUR (tzn. Polski Urząd Repatriacyjny), którego celem było zasiedlanie polskiej ludności ze Wschodu tu na Ziemiach Odzyskanych, PUR dostarczył nam wojskowe samochody ciężarowe, na które pomogli nam się załadować i przetransportowali nas do miejscowości Łosiów i Jasiona 30 km od Opoła, był to czerwiec 1945 roku. Ze swoimi opiekunami trafiłem na niemieckie gospodarstwo rolne w Jasionie. Początkowo osiedlanie było wielkim rozczarowaniem, panowała niepewność jutra, tym bardziej, że na tych wybranych gospodarstwach musieliśmy mieszkać razem z niemieckimi właścicielami gospodarstw. W 1947 roku Niemcy zostali wywiezieni do Rajchu toteż od tego czasu sytuacja bardziej się stabilizowała. Mimo wszystko wciąż odczuwaliśmy tymczasowość i nadzieję, że kiedyś powrócimy do swoich rodzinnych stron. Można by jeszcze dużo ciekawych spraw poruszyć z tego okresu, co mogłoby zainteresować nieznaną tej tematyki. Wspomnę tylko o powszechnym panowaniu tu wojsk sowieckich, które posługując się miejscową ludnością niemiecką jako siłą roboczą, dokonywały zbiorów z pól wszelkich rodzajów zbóż, a wymłócone ziarno wysyłały wagonami do Rosji. O nieobyczajnych zachowaniach tych żołnierzy w stosunku do Niemców, a raczej do Niemek już nie wspomnę. My Polacy ciężko pracowaliśmy, w czym ja nie stanowiłem wyjątku, a też chodziłem do oddalonej o 3 km szkoły podstawowej w Łosiowie. Gdyby mówić o osobistych kłopotach, to były one natury duchowej i fizycznej. Wciąż brakowało mi ciepła rodzinnego, odczuwałem brak najbliższych, o czym myśl nigdy mnie nieopuszczała. Natomiast kłopoty fizyczne można by nazwać przypadłościowymi, ale w skutkach bardzo kłopotliwymi. Jak już wspomniałem jeszcze w 1943 roku zmuszeni byliśmy ze stryjem

Stanisławem jeszcze na Wołyniu przespać całą noc w zimnej wodzie, skutkiem czego przez długi okres czasu nie leczony miałem stan zapalny pęcherza moczowego, w wyniku czego bezwiednie moczyłem się. W związku z tym zdecydowano, że będę spał na podściółce ze słomy w oborze z końmi i krowami, gdzie będzie mi cieplej. Z pewnością było to prostsze niż leczenie się u lekarza, z tym tylko, że ja bardzo się bałem na wypadek, gdyby któreś zwierzę uwolniło się z uwięzi. Wówczas zostałbym stratowany, ponieważ spałem w odległości paru metrów od zwierząt na tym samym poziomie na posadzce. Za to latem było cudownie, bo spało się na słomie lub sianie na strychu stajni czy w stodole, jakby dziś powiedzieć agroturystycznie. Wspomnę jeszcze o szkole w Łosiowie, gdzie przeżyłem głębokie upokorzenie od swoich rówieśników, tym bardziej, że w obecności przyjaznej mi koleżanki, która również była sierotą, a mieszkała w miejscowości Różyna. Na dużej przerwie wychodziliśmy na plac szkolny, gdzie dzieci posilały się kanapkami, a ja przeważnie stawałem gdzieś z boku. Pewnego razu w podobnej sytuacji podeszła do mnie wspomniana wyżej koleżanka, która miała na imię chyba Teresa (już nie pamiętam) i dała mi kanapkę do zjedzenia. Byłem tym wzruszony i onieśmielony, ale nie odmówiłem by jej nie urazić, a chłopcy stojący w grupie, widząc to zaczęli pokazywać na mnie palcami rechocząc ze śmiechu. Poczujęm się tym upokorzony, oczywiście było mi bardzo przykro i wówczas myślałem o swoich rodzicach. A o tej dziewczynie o wrażliwym sercu nigdy nie zapomniałem, ale też nie miałem szczęścia już nigdy jej spotkać, bo losy moje potoczyły się wkrótce tak, że w innym miejscu w Polsce uczyłem się i nigdy już tu nie powróciłem. Będąc jeszcze w Jasionie spotykałem się z moim kuzynem Mirkiem Wereszczyńskim (w przeszłości nasi dziadkowie byli braćmi), który był w podobnej, co ja sytuacji, choć mieszkał u swojego stryja Marcelego Wereszczyńskiego. Mirek miał jakieś wiadomości o istnieniu Domów Dziecka, do których moglibyśmy się ubiegać, na co mnie namawiał.



Mirek i Ambroży Wereszczyńscy w rozważaniu o dalszej przyszłości w Jasionie w 1947 roku.

Ponieważ odnosiłem wrażenie, że tu gdzie jestem, nie będę miał warunków do dalszego kształcenia się ponad szkołę podstawową, jego propozycję potraktowałem bardzo poważnie. Warunkiem jednak było posiadanie urzędowego pisma stwierdzającego sieroctwo. W tej sytuacji w czasie trwania zajęć lekcyjnych w tajemnicy poszedłem 5 km do gminy w Olszance, gdzie poprosiłem wójta o potrzebne mi zaświadczenie i otrzymałem je. W taki sposób z Mirkiem znaleźliśmy się w Domu Dziecka w Czarniejewie 1 września 1947 roku, przed następnym rokiem szkolnym. Mieliśmy tu zapewnione wszelkie warunki potrzebne do życia i nauki, wraz z profesjonalnym - na wysokim poziomie kierownictwem i personelem wychowawczym, była to przedwojenna kadra pedagogiczna. Poznałem tu wielu kolegów i koleżanek o trudnych losach swego dzieciństwa, z którymi utrzymuję kontakty po dzień dzisiejszy. Często jeszcze wracałem w swych rozważaniach, czy słusznie postąpiłem opuszczając swoich opiekunów, miałem wyrzuty sumienia, bo przecież byłym im też potrzebny i coś im też zawdzięczałem. Jednak jakoś podświadomie odnosiłem wrażenie, że na dalsze kształcenie opiekunowie się nie zgodzą, bo to sprawa ponoszenia kosztów i żadnego pożytku z mojej strony, a rozumiałem, że w mojej sytuacji przyszłość to konieczność zdobycia jakiegoś wykształcenia, stąd moje usprawiedliwienie. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Czarniejewie przeniesiono mnie do Domu Młodzieży we Wschowie, gdzie ukończyłem trzyletnią szkołę zawodową o kierunku elektrycznym z jednoczesną praktyką budowy linii energetycznych, co pozwalało na podjęcie pracy w tym zawodzie. Jednak postanowiłem kształcić się dalej, co w mojej

sytuacji nie było takie proste. Sama chęć nie wystarczała, w momencie ukończenia w 1949 roku w/w szkoły skończyło się dla mnie życiowe eldorado, gdyż zgodnie z przepisami mając 18 lat musiałem opuścić Państwowy Dom Młodzieży i nikogo nie obchodziło, gdzie mam się udać i co ze sobą zrobić. Toteż otrzymałem na drogę suchy prowiant i pożegnałem się ze wszystkimi. Były przy tym uściski, łzy, szczere słowa współczucia - przecież w tym trudnym okresie wspólnego obcowania nawiązały się między nami prawdziwe przyjaźnie i poczucie wspólnoty. Podczas wyjścia z tego jakby rodzinnego domu wielu kolegów i koleżanek wyszło za mną na ulicę odprowadzając mnie łzawym wzrokiem, przecież ich też taki los czekał. Kiedy oddaliłem się od nich na dalszą odległość, idąc w kierunku dworca PKP, zatrzymałem się i wówczas bezwładnie opanował mnie płacz, łzy spływały po policzkach, gdyż do ostatniej chwili nie miałem sprecyzowanego planu, do jakiego pociągu mam wsiąść. Gdy tak stałem na tym chodniku, ze zdziwieniem zauważyłem jak zbliża się od strony miasta dziewczyna, moja sympatia, piękna blondynka, w tej sytuacji nie mogłem już jej uniknąć, szybko otarłem wilgotne policzki, a ona stanęła przy mnie pytając, dokąd zmierzam. To był dla mnie wielki dylemat, gdyż nie mogłem się ośmieszyć mówiąc, że sam nie wiem, gdzie mam jechać. Obiecałem jej, że napiszę i wszystko wyjaśnię, widziałem jednak, że była zawiedziona i mogła posądzić mnie o niewiarygodność, nie znając jakże trudnej mojej sytuacji. Pożegnaliśmy się i jak się okazało już na zawsze. Wsiadłem do pociągu, który zmierzał do Wrocławia, w którym to rozważałem różne możliwości dalszego rozwiązania swego bytu, czemu przyświecała główna myśl o dalszej nauce. Przypomniałem sobie, że mój wykładowca z elektrotechniki mówił, że gdyby ktoś chciał uczyć się dalej to w Polsce są cztery licea elektryczne: w Gdańsku, Gliwicach, Nysie i Wrocławiu. Już wcześniej wiedziałem, że w okolicy Nysy mieszkają moi kuzyni, tylko nie znałem ich adresu, ale to zdecydowało o moim kierunku właśnie do Nysy. We Wrocławiu przesiadłem się na pociąg do Nysy, do której dotarłem dopiero na drugi dzień w samo południe latem 1950 roku.

Rozpocząłem od ustalenia siedziby Liceum Energetycznego w Nysie, a przy okazji dowiedziałem się o istniejącym internacie przy tej szkole, co mnie bardzo ucieszyło, choć był on na czas wykacji nieczynny. Przez dwie doby moim domem oczywiście był dworzec PKP, gorzej tylko było w sprawie z wyżywieniem. Po wielu wysiłkach i trudach, dzięki życzliwym ludziom odnalazłem mieszkających na tym terenie kuzynów z rodzinnej miejscowości. Była to rodzina państwa Jasińskich, z którymi przeżyłem

wiele tragicznych chwil podczas naszego pogromu przez ukraińskich morderców, o czym już wcześniej napisałem w niniejszej biografii, między innymi o Łodzi Jasińskiej, z którą razem uciekaliśmy ogrodami w czasie rzezi w naszej miejscowości. Podczas naszego spotkania była oszałamiająca radość, cieszyliśmy się, nie mogliśmy uwierzyć w nasze spotkanie. Byłem szczęśliwy, wspominaliśmy przez wiele godzin i nie było końca tej euforii. W dodatku, chyba na drugi dzień, zjawiał się ich wujeczny brat Mirek Wereszczyński, który po naszym rozstaniu w Domu Dziecka w Czerniejewie wyjechał do Piły. Pomimo, że nie mieliśmy ze sobą żadnych kontaktów, to jakbyśmy się umówili, że wybraliśmy tę samą szkołę w Nysie, mając przystań u kuzynów. W końcu przystąpiliśmy w Liceum Energetycznym do egzaminu wstępnego. W pierwszym dniu na egzaminie z matematyki zostałem wyproszony z sali, rzekomo za odpisywanie od kolegi, choć było akurat odwrotnie. Wyjaśnianie i tłumaczenie profesorowi panu Nakielskiemu, że było odwrotnie nie przekonywało go i zostałem skreślony z listy kandydatów do szkoły. Czując się pokrzywdzonym poszedłem do dyrektora szkoły, przedstawiłem całe to zajście i poprosiłem by mnie zamknięto w jakiejś klasie i podano temat do rozwiązania. Dyrektor wysłuchawszy mnie zapytał mnie skąd i kim jestem, po usłyszeniu o czym chciał wiedzieć powiedział, że pierwszego września mam się stawić do internatu szkoły i mieć ze sobą tenisówki i że jestem przyjęty. Ale to dopiero początek dalszego niepowodzenia. Na pierwszej lekcji matematyki pan Nakielski odegrał się, bez żadnego wstępu wezwał mnie do tablicy i kazał wyprowadzić jakiś wzór trygonometryczny, w czym się trochę pogubiłem, na następnej lekcji sytuacja powtórzyła się. Koledzy ze starszych klas powiedzieli mi, że muszę liczyć się z tym, że pan Nakielski już taki jest i nie wróży mi to nic dobrego na koniec roku szkolnego. Oprócz mnie było jeszcze dwóch kolegów z podobnymi problemami u pana Nakielskiego, choć z innych powodów, którym groziła niepewna przyszłość w tej szkole. Porozumiałem się nimi i postanowiliśmy próbować szczęścia w Liceum Energetycznym we Wrocławiu, gdzie egzaminy wstępną były opóźnione, o czym dowiedzieliśmy się dzięki sekretarce szkoły. Ruszyliśmy pociągiem do Wrocławia. Gdy dotarliśmy do interesującego nas liceum, trwał już egzamin z języka polskiego. Pani profesor - egzaminatorka chodziła po korytarzu i paliła papierosa, gdy dowiedziała się, o co nam chodzi, kazała wejść do klasy, podała nam kartkę, pokazała temat na tablicy i ponownie wyszła na korytarz, a wszyscy pocili się nad tematem. Na drugi dzień egzamin z matematyki. W



końcowym efekcie egzamin zdaliśmy i zostaliśmy przyjęci do liceum. Ponieważ internat był jeszcze w remoncie szkoła miała rozpocząć się z opóźnieniem, wobec czego koledzy na ten czas pojechali do domów, a ja nie mając się gdzie podziąć przebywałem na dworcu PKP we Wrocławiu. By przeżyć pracowałem przy rozładowywaniu wagonów, a nocowałem na poczekalni dworcowej, to nie było radosne eldorado, ale te poniżenia i nawet częste niesmaczne uwagi różnych ludzi trzeba było z pokorą znosić. Po rozpoczęciu opóźnionego roku szkolnego, przy jakiejś okazji, gdy po lekcjach odprowadzałem panią polonistkę do jej miejsca zamieszkania w dzielnicy Krzyki, pomagając jej nieść zeszyty do sprawdzania, dowiedziałem się od niej, że na Krzykach jest Dom Dziecka, do którego pomoże mi się dostać. Nie była to prosta sprawa, ponieważ miałem już przekroczony wiek do takiego domu, ale jak się okazało moja pani profesor była znajomą pani dyrektor Domu Dziecka, obie panie pochodziły ze Lwowa, dzięki ich dobrej woli warunkowo zostałem przyjęty do czasu oddania do użytku internatu, do którego powinienem mieć szansę być przyjęty. Byłem wielce szczęśliwy z tego czasowego rozwiązania, dzięki tym paniom, ale mój problem nadal polegał na tym, że nie miałem za co kupić przyborów szkolnych i najkonieczniejszych potrzeb osobistych. I ten problem musiał być rozwiązany w taki sposób, że oprócz zajęć szkolnych rozładowywałem wagony, co było dość trudne do pogodzenia. Ze względów oszczędnościowych do szkoły chodziłem pieszo, a książki konieczne pożyczałem od kolegów, co nie zawsze było możliwe, tym bardziej, że nie mieszkaliśmy razem. W późniejszym czasie, gdy już dostałem się do internatu, wszystko okazało się nieco prostsze. Miałem bardzo przyjaznych sobie kolegów, szczególnie tych kresowego pochodzenia. Trudno o tych wspólnych przeżyciach opowiedzieć z perspektywy tylu lat. Większość z tych kolegów już nie żyje, ale wszyscy oni w pamięci są mi bliscy. Szczególne miejsce w mojej pamięci zajmuje bardzo serdeczny i życzliwy dla mnie kolega, Władek Szczęśniak, który miał rodziców w miejscowości Tyniec nad rzeką Ślęża koło Dzierżoniowa. Czasami zabierał mnie do swojego rodzinnego domu, gdzie w jego progach doznawałem wiele serdeczności, pomocy i zrozumienia. Po ukończeniu szkoły drogi nasze rozeszły się na długi okres czasu, ponieważ on studiował na politechnice, a moje losy potoczyły się w różny sposób, ale już poza Wrocławiem. Jednak w latach osimdziesiątych niespodziewanie Władek przez przypadek odnalazł mnie, czytając pismo „NA RUBIEŻY”, w którym był mój artykuł

wspomnieniowy o dramatycznej rzezi wołyńskiej i tak jesteśmy w kontakcie po dziś dzień, z czego bardzo się cieszę. Wracając do czasów nauki w liceum, najtrudniejsze okresy przeżywałem w czasie wakacyjnym, kiedy internat był nieczynny, tym samym nie miałem gdzie się podziąć i z czego żyć. Co prawda moi starsi bracia powrócili do Polski z przymusowych robót w Niemczech, ale oni przebywali w różnych miejscach i znajdowali się w podobnej sytuacji do mojej. Co prawda miałem adres mojego, jakże bliskiego mi stryja Stanisława, z którym razem przeżywaliśmy tragiczne czasy w walce o przetrwanie na Wołyniu, gdzie on był moją tarczą nadziei na ocalenie. Jednak by odwiedzić go z rodziną, potrzebowałem pieniędzy na przejazd.



Pierwsze spotkanie po odnalezieniu się po wojnie w 1950 roku.  
Bracia od lewej strony: Ambroży, Kazimierz i Jan.

Jak już wspomniałem wcześniej, pozostawał dworzec PKP i rozładowywanie wagonów za marne wynagrodzenie. Najgorszy czas pobytu na dworcu to okres nocny, bo gdzie jak gdzie, ale właśnie nocą dworzec był opanowany przez różnej maści złodziei, szabrowników i wszelkiego rodzaju oprychów spod ciemnej gwiazdy. Co prawda niedaleko Wrocławia była miejscowość, gdzie mieszkałem u swoich wcześniejszych opiekunów, o czym nigdy nie zapomniałem i często zastanawiałem się nad tym, czy ich nie odwiedzić, jednak nie byłem pewny, czy będę mile widziany, a wolałbym takiej traumy nie przeżywać, toteż nie zdecydowałem się. Następne wakacje były podobne do poprzednich, jednak znacząco lepsze, ponieważ pozwolono mi sypiać w internacie i korzystać z wody i światła, co było dla mnie zbawiennym rarytasem. Dzięki pracy na PKP miałem możliwość, by pojechać do

rodziny mojego stryja Stanisława, gdzie przyjęto mnie bardzo serdecznie, czego mogłem się spodziewać. Bardzo cieszyłem się z gościnności stryjenki i stryja, jaką mnie obdarzano. Czasami wracaliśmy wspomnieniami do złowrogich i ponurych czasów walki o przetrwanie podczas banderowskiej rzezi na rodzinnym Wołyniu. W 1952 roku pomyślnie ukończyłem szkołę otrzymując dyplom technika energetyka, toteż spełniły się moje dążenia i wydawałoby się, że jest okno otwarte na świat, ale dla mnie niezupełnie. Koledzy otrzymując dyplomy radośnie to przeżywali i świętowali w knajpach, w kawiarniach i w końcu rozjeżdżali się do domów pochwalić się rodzicom, a mnie pozostawał "mój dom", czyli dworzec PKP. W tych czasach po zdobyciu zawodu obowiązywała zasada nakazu pracy. Było praktyką, że już pod koniec nauki do naszej szkoły przyjeżdżali zainteresowani przedstawiciele różnych firm, celem pozyskania pracownika dla swojej jednostki. Mnie zwerbowano do Dyrekcji Dolnośląskich Zakładów Energetycznych we Wrocławiu do pracy w biurze projektów. Nie zapewniono mi jednak jak narazie mieszkania, tradycyjnie pozostawał dworzec PKP. Po przepracowaniu zaledwie dwu tygodni zostałem wezwany do dyrektora, który oświadczył mi, że jest taka potrzeba i przenoszą mnie do Zakładu Energetycznego w Jeleniej Górze, gdzie mam się zgosić do dyspozycji naczelnego inżyniera. Naturalnie otrzymałem delegację, równowartość pensji za 14 dni pracy, uścisk dłoni z życzeniami dalszej pomyślnej pracy i ruszyłem jeszcze tego dnia pociągami do Jeleniej Góry. Naczelnym inż. ZE w Jeleniej Górze powiedział, że przenoszę pana do Rejonu energetycznego w Lubaniu, wręczając mi nominację na stanowisko kierownika Rejonu Energetycznego wraz z delegacją, zapewniając służbowe mieszkanie po byłym kierowniku. Już na miejscu dowiedziałem się, że dotychczasowy kierownik był pochodzenia niemieckiego i nasz Urząd Bezpieczeństwa coś o nim wywęszył i został on aresztowany. Istotnie mieszkanie po nim było bardzo duże, i w pełni wyposażone, mieściło się na całym piętrze nad biurami Rejonu znajdującymi się na parterze. Wydawało się, że lepiej być nie może. Po wprowadzeniu się w następnym dniu zwołałem zebranie załogi, przedstawiłem się i po wysłuchaniu informacji o panujących tu różnych zwyczajach pracy, ustaliłem pewne zasady współpracy i obowiązującej dyscypliny, jakiej bym sobie życzył. Chciałem budować przyjazną atmosferę współpracy z całą załogą i miałem nadzieję, że tak się stanie. Mój problem tkwił w czym innym, biurowiec Rejonu zlokalizowany był daleko od miasta Lubania, praktycznie w szczerym polu przy rozdzielni wysokiego

napięcia. Ponieważ byłem sam, więc zmuszony byłem posilać się w mieście, gdzie wówczas była jedyna knajpa (truno to było inaczej nazwać), w której to działały się przeróżne pijackie orgie, co mogło czasami przerażać i grozić niebezpieczeństwem. Bywało tak, że bez pardonu dosiadali się różni napici faceci i żądali, aby stawiać im alkohol. Lepszego teatru nie trzeba było szukać. Bywało też tak, że trzeba było zostawić zamówiony posiłek i opuszczać lokal. Ta sytuacja przerastała moje nadzieje na tutejszą przyszłość. Już wcześniej, jeszcze we Wrocławiu, wiedziałem, że mój brat Janek mieszka, pracuje i uczy się w Szczecinie. Pomyślałem sobie, że dobrze by było gdybyśmy byli razem, byłoby nam razem łatwiej, moglibyśmy wzajemnie sobie pomagać. Problem był w tym, że obowiązywał mnie nakaz pracy, pomyślałem wówczas, że musi się znaleźć jakieś wyjście. Po przespaniu się z problemem zadzwoniłem do gł. inż. w Jeleniej Górze i poprosiłem o parę dni urlopu celem przywiezienia z domu, (którego nie miałem) swoich rzeczy osobistych koniecznych do życia, na co otrzymałem zgodę. Po otrzymaniu urlopu ruszyłem pociągiem do Warszawy, do Ministerstwa Energetyki, konkretnie do dyrektora departamentu szkolnictwa celem uzyskania nakazu pracy z przeniesieniem do energetyki w Szczecinie. Na drodze stanęły mi sekretarki, które nie wnikały w moją sytuację tylko chciały się mnie pozbyć, wyprosiły mnie i kazały przjść na następny dzień. Sam odnalazłem potrzebnego mi dyrektora departamentu, który okazał się bardzo przychylnym panem, kazał sekretarce połączyć się z gł. inż. energetyki w Szczecinie i zapytał go, czy przyjmie mnie do pracy, otrzymawszy pozytywną odpowiedź, kazał sekretarce przygotować przeniesienie, podpisał je i życzył mi powodzenia na nowym miejscu pracy. Mając przeniesienie nakazu pracy już na drugi dzień byłem w Szczecinie, spotykając się z bratem ku wielkiej naszej radości po paroletniej wymuszonej rozłące. Następnie zameldowałem się u gł. inż. Zakładu Energetycznego, gdzie zostałem z miejsca przyjęty do pracy. Dla przyzwoitości zadzwoniłem do Jeleniej Góry i powiadomiłem kogo trzeba o swojej sytuacji, przepraszając za takie postępowanie, ale ważniejsza była dla mnie moja przyszłość. Wspólnie z bratem było nam łatwiej znosić różne trudy, pracowaliśmy, razem mieszkaliśmy, a jednocześnie brat przygotowywał się na studia medyczne, a wcześniej miał ukończone liceum felczerskie. W 1953 roku na jesień zostałem powołany do służby wojskowej, z przydziałem do Szkoły Młodszych Specjalistów Lotnictwa w Elblągu. Po rozwiązaniu tej szkoły, przeniesiony zostałem do Sztabu Wojsk Lotniczych w Poznaniu, a na-

stępnie do Batalionu Lotnictwa w Świdwinie. Po ukończeniu służby wojskowej powróciłem do Szczecina z nadzieją przyjęcia do poprzedniej pracy. Jak się okazało moje poprzednie stanowisko było zajęte i zakład zaproponował mi wyższe stanowisko kierownika technicznego, ale w Międzyzdrojach lub w Goleniowie. Zrezygnowałem z tych propozycji i poprosiłem o służbowe przeniesienie do ZE w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie wcześniej uzgodniłem z dyr. zakładu o podjęciu pracy. Tu do czasu otrzymania obiecane służbowego mieszkania, zamieszkałem u siostry stryjecznej z rodziną Danusi Kowalskiej. Brat Janek w tym czasie rozpoczął studia medyczne w Szczecinie. Pracując w Gorzowie poznałem przyszłą swoją żonę Barbarę i zamieszkaliśmy w przydzielonym służbowym mieszkaniu. W 1958 roku urodziła nam się córka Lidia, a w 1967 roku syn Leszek.



Moja rodzina od 1957 roku; żona Barbara, córka Lidia, syn Leszek.  
W 1980 roku żona Barbara zmarła.

W jednym i drugim przypadku mieliśmy zmartwienia z powodu różnych chorób dzieci. Żona była dyplomowaną pielęgniarką i pracowała jako pielęgniarka oddziałowa w Państwowym Domu Dziecka, a później w pogotowiu ratunkowym, aż do czasu gdy ciężko zachorowała w 1974 roku. Jeszcze przed tym w 1967 roku, gdy urodził się syn, zmieniliśmy mieszkanie na większe i wygodniejsze, co pozwalało nam wygodniej funkcjonować. Był to okres powiedziałbym pomyślniejszy w naszym życiu, parę lat z rzędu wyjeżdżaliśmy na urlop do Bułgarii nad morze



Czarne, mając do dyspozycji swój samochód. Mieliśmy zaprzyjaźnioną rodzinę węgierską, z którą na zmianę co roku odwiedzaliśmy się raz na Węgrzech raz w Polsce. Jak już wspomniałem żona zachorowała w 1974 roku, z czym wiązały się różne problemy, tym bardziej, że rozpocząłem budowę domu, córka studiowała, a syn był jeszcze małym dzieckiem. Żona leżała na oddziale neurologii w szpitalu w Gorzowie, gdzie podejmowano wszelkie próby postawienia diagnozy, w końcu sprowadzono z Poznania znanego neurologa, który zdecydował o przewiezieniu żony do kliniki neurochirurgii w Poznaniu. Po dokładnych badaniach ustalono, że jest to guz rdzenia kręgowego i być może zdecydują się na operację. W międzyczasie poważnie też zachorował syn Leszek, który również został przewieziony do kliniki dziecięcej w Poznaniu. Zdiagnozowano u niego wrodzone zwężenie przewodu moczowego od nerki do pęcherza moczowego i pozostawiono go na oddziale nefrologicznym na dalsze badania i leczenia. W tej sytuacji i syn i mama leżeli w szpitalach w tym samym mieście, a ja odwiedzając ich parę razy w tygodniu, nie mówiłem im, że są tu w pobliżu siebie, by nie wzbudzać u nich dodatkowego cierpienia. Po trzech miesiącach otrzymałem pisemne wezwanie do stawienia się w klinice syna w celu podpisania zgody na przeprowadzenie operacji wadliwego przewodu moczowego wraz z uszkodzoną nerką. Przed wyjazdem przedyskutowałem ten temat ze znajomym lekarzem pediatrą panem Makowskim, ordynatorem szpitala dziecięcego w Gorzowie. W Poznaniu po dłuższej rozmowie zgodziłem się na operację wadliwego przewodu moczowego, ale bez usunięcia uszkodzonej nerki, która z uwagi na młody wiek może się jeszcze zregenerować, z tym że gdyby zaszła taka potrzeba wówczas będzie na to zgoda. Chirurg po dłuższym namyśle zgodził się na takie rozwiązanie. Po paru miesiącach leczenia syn wyzdrowiał i do dziś czuje się dobrze, z tym że przez dwa lata jeździliśmy do kliniki na badania kontrolne. Po dłuższym czasie również żona została zoperowana z połowicznym sukcesem, ponieważ guz został usunięty w części zewnętrznej rdzenia, a w części wewnętrznej rdzenia pozostał. Żona od piersi w dół była całkowicie sparaliżowana i przebywała w tej klinice aż do roku 1980 – go, w którym zmarła. Był to dla nas wielki dramat. Ponieważ byłem bardzo zadłużony, zmuszony byłem sprzedać tuż przed ukończeniem budowany dom. A z uwagi na zapowiedzianą denominację pieniądza, by nie stracić kupiłem inny dom do wykończenia, w którym zamieszkałem z synem, ponieważ już wcześniej córce kupiłem własnościowe mieszkanie. Później w 1983 roku

przypadkowo w dawnym moim miejscu zamieszkania spotkałem dobrze mi znaną Barbarę, córkę państwa Renczów, z którymi tym samym transportem przyjechaliśmy z Kresów tu na Ziemię Zachodnie. W tymże samym 1983 roku Barbara została moją żoną, z którą mieszkaliśmy w Gorzowie aż do 2005 - tego. Gdy syn Leszek założył własną rodzinę i wyprowadził się do Tarnowa, zostaliśmy sami i nie było nam łatwo z dwóch względów: jeszcze w tym czasie, gdy mieszkał z nami syn, miałem na przestrzeni jednego roku dwa udary mózgu, z powodu których byłem przez cztery lata częściowo sparaliżowany. Drugą trudnością było to, że choroba uniemożliwiła mi dodatkowe zarobkowanie przy projektowaniu, które było nie bez znaczenia przy niwielkiej emeryturze. Dom wymagał już kosztownego remontu, a nie bardzo było za co, pomimo że żona pracowała. Zdecydowałem się sprzedać dom, a po sprzedaży kupiliśmy mieszkanie w Opolu, gdzie mieszkamy do dziś. Tu w Opolu przeszedłem cztery operacje, naczyń wieńcowych serca i inne. Dzięki troskliwej, wyrozumiałej i pracowitej żonie łatwiej jest mi znosić trudy dnia codziennego. Każdy dzień jest przeplatany wspomnieniami tragicznego dzieciństwa i późniejszymi niełatwymi momentami życia, które nie opuszczają mnie anie w dzień, ani też w nocy. W 1994 roku udałem się wraz z ciotecznym bratem Jerzym Jeleńkowskim do rodzinnego Zielonego Dębu na Ukrainie z zamiarem odnalezienia grobu swojej rodziny i pozostałych zamordowanych Polaków pochowanych we wspólnym grobie w naszym sadzie. Oczywiście tego grobu, według określenia jego lokalizacji przez brata Janka nie odnaleźliśmy. A miałem zamiar ekshumować szczątki ofiar i przewieźć je na cmentarz komunalny w mieście Szumsku. W tym celu po wielu staraniach w powiatowym Zdołbunowie uzyskałem na piśmie zgodę na ekshumację, a u władz Szumska na pochowania na tutejszym cmentarzu. W tych trudnych staraniach skutecznie towarzyszył mi brat Jerzy, dobrze zorientowany w swawolnych procedurach podejmowania decyzji administracyjnych przez ukraińskich urzędników. W uzgodnieniu z naczelnikiem gminy i posterunkiem policji w Buderażu wszyscy zainteresowani wraz z płatnymi miejscowymi chłopskimi robotnikami stawili się w naszym sadzie celem ekshumacji. A jeszcze wcześniej w Szumsku u stolarza zostały zamówione odpowiednie skrzynie na szczątki ofiar i prywatny transport. I wówczas okazało się że nie ma żadnego śladu miejsca grobu. Wiedziałem już wcześniej, że parę dni po pochówku w 1943 roku ukraińska miejscowa młodzież zdewastowała nagrobek i na tym miejscu paliła ognisko. Ja kierując się

wskazaniami brata co do lokalizacji grobu i wyobrażeniem dawnego ukształtowania terenu nie potrafiłem odnaleźć tego miejsca ponieważ obecny krajobraz w niczym nie przypominał dawniejszej rzeczywistości (połowa sadu nie istnieje, ani śladu po zabudowaniach, dawniejsza droga czterometrowa poszerzona przez kolchoz na ponad 25 m).



Stoję w centrum naszej gospodarczej posiadłości w Zielonym Dębie, przed pozostałą jeszcze częścią zdziczałego sadu, po zabudowaniach nie ma nawet śladu.

Wobec czego kazałem kopać w przypuszczalnych miejscach strefy sadu, co jednak nie przyniosło rezultatu. Poprosiłem kierowcę z Szumska zorientowanego w tutejszym terenie, by zorganizował koparkę, ponieważ grunt w sadzie nie uprawiany przez tyle lat był tak twardy, że trudno było wbić szpadel w ziemię. W niedługim czasie zjawiał się operator z koparką, chętny za opłatą zrobić co potrzeba. Przekopał wzdłuż i w szerz określoną strefę sadu i bez rezultatu. Zdumiewający był fakt, że przez cały ten czas na miejscu była zgromadzona cała wieś Ukraińców i każdy z nich doskonale znał miejsce grobu, ale nikt nie odważył się wskazać (na co liczyłem) i to wyłącznie ze stracha przed zwolennikami ukraińskich nacjonalistów, którzy na dobre odradzają się i przybierają na sile pod nazwą „Swoboda” wspierani do niedawna przez byłego prezydenta Juszczenkę i Julję Tymoszenko. Dopiero w 1997 roku brat Janek poproszony i przewieziony do Zielonego Dębu przez syna naszej ukraińskiej sąsiadki sprzed wojny, która ciężko zachorowała prosząc o pomoc. Brat zbadał ją, postarał się o potrzebne leki i dzięki temu ona przełamała się nakazując synowi w nocy bez świadków wskazać miejsce grobu i tak się stało. Brat odkrył szczątki ofiar, pozostał na miejscu na

niezbędny czas i ufundował odpowiedni nagrobek z tablicą pamiątkową pomordowanych - czego w epitafium nie wolno było napisać, a jedynie, że zginęli śmiercią tragiczną w języku polskim i ukraińskim. Jak się okazało to grób znajdował się o 40 cm od miejsca ostatniego zanurzenia łyżki koparki, podczas moich poszukiwań w 1994 roku.



Grób naszej rodziny i innych polskich rodzin w Zielonym Dębie okrutnie zamordowanych w 1943 roku przez ukraińskich zbrodniarzy.



Zielony Dąb 11.12.1997 r. Na tle zbiorowej mogiły wyeksponowane szczątki ofiar pomordowanych 3 lipca 1943 r.



Obecnie mija już 70 lat od tragicznej masowej rzezi Polaków na Wołyniu przez zdziczałych ukraińskich nacjonalistów, w którym to ludobójstwie poniosła męczeńską śmierć moja rodzina z wieloma bliskimi nam Polakami. Mimo upływu czasu i powiedzenia, że czas goi rany, w moim przypadku nie spełnia się. U mnie są one wciąż świeże i bolą jak dawniej, a obraz męczeństwa moich najdroższych wciąż stoi mi przed oczami. I ta obrazowa pamięć będzie towarzyszyć mi do końca moich dni. Jestem katolikiem i być może będę potępiony, ale wbrew temu, co mówi wiara o przebaczeniu, ja zbrodniarzom nigdy nie wybaczę, tym bardziej, że mnie nikt o to nie prosił. Z perspektywy czasu, własnych doświadczeń jako ojca uświadamiam sobie, jak moi rodzice głęboko przeżywali te groźne chwile zamartwiając się o nasz los, o nasze istnienie, nie bacząc na trudy w tej beznadziejnej sytuacji. Podczas tych myśli składam im uniżony hołd miłości, szacunku, podziękowań i pamięć. Wciąż uwiera ból i gorycz w moim sercu na wspomnienie przeżyć podczas sadystycznej rzezi naszych bliskich przez ukraińskich zwyrodniałych bandytów na naszej rodzinnej Ziemi Wołyńskiej. Tym boleśniejsza jest dla nas Kresowian ta haniebna sprawa ludobójstwa, że żaden z polskich rządów nie uczynił nic w sprawie ścigania i ukarania tych ukraińskich zbrodniarzy, sprawców ludobójstwa na 200 tysiącach ludności polskiej Kresów Wschodnich, jak uczyniłby to każdy kraj na świecie. Wręcz przeciwnie, nasze władze po 1989 roku, a szczególnie obecne w kontaktach z ukraińskimi władzami są wyjątkowo spolegliwe i uniżenie z ugiętymi kolanami prowadzą z nimi rozmowy, wspierając ich w dążeniach do szczęśliwości w Unii Europejskiej, jak też w wielu innych korzystnych dla nich sprawach, nie uzyskując nic w zamian. Szczególnie ma to miejsce za rządów premiera Tuska z ministrem Sikorskim, który prowadzi politykę zagraniczną jak przysłowiowa cnotliwa panienska. Czyżby nie znali najnowszej historii, szczególnie o Ukraińcach z czasów II wojny. Pytanie, co zrobiono dla mniejszości polskiej mieszkającej na Ukrainie, jakie mają tam prawa obywatelskie, nie mówiąc już o warunkach codziennego życia w porównaniu z tym, jaką swobodą i względami cieszy się mniejszość ukraińska w Polsce. O czym może między innymi świadczyć bierna postawa polskiego rządu i brak sprzeciwu wobec budowy przez Ukraińców pomnika wdzięczności i chwały dla Bandery, największego mordercy ludności polskiej na Kresach, nie tylko na Ukrainie, ale też na naszej polskiej ziemi. Myślę, że to jest niewybaczalny skandal wobec polskiego narodu. Niestety naszych polityków cechuje kajanie się za niezasażone winy przed Żydami,



Ukraińcami i Niemcami. Nie sądziłem, że takiej Polski doczekamy, że będzie panować bezprawie w resorcie sprawiedliwości, korupcja na każdym kroku, amoralność, zdziczenie młodzieży, niegospodarność, wszechwładna biurokracja itp. Dziś już wiem, że takiej Polski, jaką ja znam z przed wojny, nie będzie, w której był szacunek dla każdego, szczególnie wobec starszych, młodzieży wobec nauczycieli, nie jak dziś gdzie uczniowie zakładają nauczycielowi kosz ze śmieciami na głowę i grożą pobiciem. Liczne są samowole i zabójstwa, a w kulturze, to już tyle zaczerpnęliśmy jej z Zachodu, że nawet na scenach można bez żenady oglądać „kulturalnie gołe tyłki”. Z pewnością nie wrócą już czasy normalności, bo żyjemy w „lepszym i kulturalniejszym świecie”. Pozostaje mi tylko zwrócić się do szacownych Kresowian, którzy doznali równie bolesnych krzywd podczas ukraińskiego ludobójstwa, by nie ustawali kochać sercem i duszą tego, co utraciliśmy na rodzinnych Kresach. Mam nadzieję, że historia jeszcze raz zatoczy koło i ta ziemia wróci do polskiej Macierzy i nasze prawnuki powrócą tam i będą solą tej ziemi jak niegdyś nasi ojcowie i dziadkowie.

*Wszystkim najbliższemu mojemu sercu w rodzinie, przyjaciółom i tym, którzy pomogli mi w trudnych dla mnie chwilach, poświęcam ten zapis.*

Syn Ziemi Wołyńskiej  
Ambroży Wereszczyński

PAMIĘCI NIEWINNYCH I BEZBRONNYCH OFIAR NACJONALISTYCZNEGO TERRORU  
UKRAIŃSKICH BAND **U.P.A.** ZAMORDOWANYCH MĘCZEŃSKĄ ŚMIERCIA 03.07.1943  
ROKU W ZIELONYM DĘBIE NA WOŁYNIU

1. Wereszczyńska	Maria	I. 42	}	NASZA NAJBLIŻSZA RODZINA
2. Wereszczyńska	Justyna	I. 40		
3. Wereszczyński	Wacław	I. 42		
4. Wereszczyńska	Weronika	I. 39		
5. Wereszczyński	Stefan	I. 9		
6. Wereszczyńska	Maria	I. 7		
7. Wereszczyński	Piotr	I. 5		
8. Wereszczyński	Aleksander	I. 3		
9. Wereszczyński	Kazimierz	I. 45	}	WSZYSCY CI, KTÓRZY ZGINĘLI ŚMIERCIA MĘCZEŃSKĄ
10. Wereszczyńska	Ludwika	I. 40		
11. Wereszczyńska	Helena	I. 9		
12. Wereszczyńska	Zofia	I. 7		
13. Wereszczyńska	Maria	I. 5		
14. Wereszczyński	Łukasz	I. 48		
15. Wereszczyńska	Stanisława	I. 42		
16. Wereszczyńska	Jadwiga	I. 21		
17. Wereszczyński	Edward	I. 17		
18. Wereszczyńska	Józefa	I. 15		
19. Wereszczyński	Władysław	I. 11		
20. Wereszczyńska	Maria	I. 4		
21. Wereszczyńska	Zofia	I. 34		
22. Wereszczyński	Józef	I. 15		
23. Wereszczyńska	Stefania	I. 11		
24. Wereszczyński	Antoni	I. 40		
25. Wereszczyńska	Maria	I. 36		
26. Wereszczyńska	Czesława	I. 7		
27. Wereszczyński	Jerzy	I. 3		
28. Jasińska	Aniela	I. 8		
29. Krasicki	Roman	I. 105		
30. Krasicka	Leontyna	I. 30		
31. Krasicka	Bronisława	I. 10		
32. Krajewski	Jan	I. 65		
33. Krajewski	Piotr	I. 30		
34. Krajewski	Kazimierz	I. 28		
35. Krajewska	Maria	I. 32		
36. Bubel	Maksymilian	I. 20		
37. Bubel	Stanisław	I. 17		
38. Łoziński	Jan	I. 25		

POKÓJ ICH DUSZY  
OGARNIĘCI GŁĘBOKIM ŻALEM  
URATOWANI SYNOWIE JAN I AMBROŻY